STEFAN GODLEWSKI

WARSZAWA



WARSZAWA * 1946 R

Stefan Godlewski

WARSZAWA



Warszawa 1946

ILUSTROWAŁ I OPRACOWAŁ
GRAFICZNIE
EDMUND BARTŁOMIEJCZYK

WYDAWNICTWO LUDWIKA FISZERA
I
JÓZEFA KUBICKIEGO W WARSZAWIE

PRZEDMOWA

Ze szczególnym wzruszeniem zabieram się do napisania przedmowy do tej szczupłej rozmiarami książeczki, będącej objawieniem niezwykłego talentu.

Książki tej nie można ani pochwalić, ani obrazić. Potwierdza ona sama swą wartość, stanowi zadziwiający dokument literacki, który — ze względu na swe znaczenie — może być porównany jedynie ze „Statkiem Pijanym“ Rimbauda. Porównanie to, z pozoru paradoksalne, jest konieczne, gdyż ma ono uzmysłowić czytelnikowi znaczenie „Warszawy“ jako zjawiska literackiego. Tylko że Rimbaud zbuntował się przeciwko klasycyzmowi i konwencjonalizmowi przeciw samemu życiu, Godlewski zaś nawrócił do klasycyzmu w sposób świadomie konwencjonalny, choć ironiczny — z życiem nie tylko się pogodził, ale je ukochał. Było w Rimbaud — w jego buncie i w jego pozie podeptania literatury, w jego dynamizmie coś słowiańskiego, było w Godlewskim — w jego umiarze, w jego wyobraźni twórczej, w jego szacunku do literatury coś latyńskiego. Na tych dwóch biegunach zrodziły się dwa arcydzieła: jedno odrazu wywarło

wpływ na poezję francuską, drugie — nadal oczekuje na wydanie owoców w prozie polskiej.

W plejadzie twórców polskich epoki międzywojennej zajął Stefan Godlewski miejsce najbardziej może odrębne i osamotnione — bez poprzedników i naśladowców. Wielka indywidualność, tętniąca nadmiarem wzruszeń psychicznych i pomysłów, a świadomie i uparcie naginająca się do ściśle zakreślonych form artystycznych — jest zjawiskiem, które wywołuje zdumienie czytelnika. Tylko że czytelnik ten może dostrzec w konwencjonalizmie Godlewskiego świat tak odrębny, bogactwo tak zuchwałe, barwy tak różnorodne, jakich by daremnie szukał gdzie indziej.

„W literackiej sławie nie istnieje szczęście“ — mówi myśliciel. Ostatecznego wyroku o danej książce nie wydają stronni i hałaśliwi czytelnicy chwili, w której się ona ukazuje; ale niejako sąd aniołów, publiczności, której nie można przekupić, nie można przebłagać, nie można zastraszyć, rozstrzyga o tytule każdego człowieka do sławy. Tylko te książki przechodzą do potomności, które zasługują na to, aby trwały.

Taką książką jest — „Warszawa“. Zrealizował w niej autor — tę rzecz szczególnie trzeba zaakcentować — niebywale śmiały zamysł: nie opowiedzenia nam choćby w sposób najbardziej piękny jeszcze jednej baśni i legendy, lecz odkrycia przed nami samej psychologii legendy

i baśni. Jest to podstawa może najbardziej wdzięczna, lecz zarazem bardzo niebezpieczna. W wypadku jednak, gdy cel zostaje osiągnięty — a dzieje się tak raz na sto — zdobywa się jakąś prawdę, bez której w sztuce — jak i w życiu — nie ma prawdziwej wielkości.

*

Pierwsze wydanie „Warszawy“ ukazało się przed laty piętnastu i przyjęte zostało przez najpoważniejszą w Polsce krytykę w sposób entuzjastyczny.

Prof. Władysław Tarnawski w obszerniejszej recenzji, p. t. „Warszawa“ pisał:

„P. Godlewski często traktuje swój pomysł żartobliwie. Objawia się to nie tylko w ustępach, łączących poszczególne nowele, ale i w nich samych. Co krok spotykamy się z igraszkami wyrazów lub z wycieczkami satyrycznymi, zawartymi w jednej delikatnej aluzji lub w jednym ad hoc ukutym wyzwisku, a wszystko jest nadzwyczaj subtelne, miejscami nawet głębokie, choć rzucane niby od niechcenia. Autor zna na wylot literaturę i współczesną Warszawę... Umiał też p. Godlewski oddać charakter wchodzących w grę epok historycznych — po części przy pomocy przesady. Taki charakter ma historia mieszczańska z czasów Zygmunta III, przeładowana cudami, lub obraz dworu Stanisława Augusta. W tym drugim wypadku niezwykle trafnie otoczył autor

postać Grabinki aparatem mitologii — nie greckiej, ale francuskiej — z rzeźb i płócien XVIII w.

Osiągnięcie tych efektów zawdzięcza p. Godlewski w znacznej mierze niepośledniemu mistrzostwu języka. Wyobrażam sobie, że musi on pisywać, podobnie jak Maupassant, który wrażenie wyjątkowej lekkości i łatwości pióra wywoływał przez staranny dobór wyrazów i cyzelowanie zdań, nieraz wielokrotnie przerabianych. P. Godlewski umie być wedle potrzeby rubasznym, romantycznym i figlarnym, umie ze słów wydobywać odcienie i połyski...

Nasza skarłowaciała w ostatnich czasach beletrystyka wydała niewiele utworów równie oryginalnych i wartościowych pod względem artystycznym, jak to cacko w kilku stylach p. Godlewskiego".

Adam Grzymała-Siedlecki tak oceniał „Warszawę" w artykule „W miłosnych sidłach Syreny":

„Wstęp do noweli („Wokulski") — to jedna z najpiękniejszych kart, jakie u nas napisano o autorze „Placówki"... Czasy archaiczne i czasy urojone (o „Warszawie"): trzeba umieć wniknąć w subtelności, z jaką młody pisarz przystępuje do literackiego rysunku tak pojętej epoki, z jakim poczuciem gatunku i substancji podsuwa opowiadaniu charakter i nastrój „byliny", jak cyzeluje

wszystkie niezbędne elementy ludowej wyobraźni o pradawności, jak iście klechdowo miesza, z zatarciem krawędzi stycznych, świat rzeczywisty ze światem zjawiskowym...

Polor podjętej epoki (o „Grabince") lśni tu niepodrobionym wykwintem, jakimś gotowym iście rytmem w grze słów — i ta domieszka żartobliwej zmysłowości, bez której rococo nie mogłoby się poczuć sobą. A nad całością czuwa rzetelny smak, przetrawienie we własnym artyźmie całej polskiej starej kultury, znawstwo tematu, klasyczne upodobanie do tego muśnięcia hellenizmu, którym wiek XVIII tak lubił się rzeźwić.

Ten sen nocy warszawskiej p. Godlewskiego uważam za jedno z najmisterniejszych zjawisk naszej — ostatnich lat — produkcji literackiej. Jeśli by dla „Grabinki" szukać paranteli — trzebaby się raczej zatrzymać na Merimée'go „La Venus d'Ille", która z tych samych podniet i ambicji wytrysła.

...I język: Niewielu z młodych pisarzy pisze taką niepokalaną polszczyzną. Każde zdanie ponadto ma swoją wagę, żadnego opuścić nie można—żadnej pustej frazy. Nieustanna troska o dobór wyrazu, który by najwierniej, a nie banalnie, z maksymalnym wdzękiem oddał zamierzoną myśl. A jaki prawdziwie poetycki bieg porównań, przenośni, obrazów! Radość zbiera, że jeszcze u nas pisuje się taką mową" .

Prof. Józef Birkenmajer kończy obszerne omówienie („Warszawa w uśmiechu baśni") książki Godlewskiego słowami:

...Sam atoli sposób ujęcia baśni, umieszczenie jej na dwóch niejako platformach: dawności i nowoczesności—oddala Godlewskiego od folklorystów, a spokrewnia go z takimi pisarzami, jak Arystofanes („Ptaki"), Szekspir („Sen nocy letniej") i Słowackiego („Balladyna"). Do tego szeregu w znacznej mierze należał Wyspiański, pod którego sztandar jawnym wyznaniem zgłasza się Godlewski; późniejsi koledzy panny Hanki będą mieli wdzięczny temat do rozpraw seminaryjnych, albowiem — opierając się na zeznaniach autora—będą mogli wymienić wszystkie odgłosy „Nocy listopadowej", może „Wesela" i „Legendy". Nie tracąc nic na tym, że przy tej sposobności przeczytają dokładnie i gruntownie całą książkę Godlewskiego.

Bo—chcąc ocenić całe piękno, całą wartość artystyczną tej książki—trzeba ją przeczytać dokładnie i gruntownie... Tę książkę trzeba czytać gruntownie, ze smakiem i rozmysłem. Tak jak ona powstawała".

Obszerne studium poświęcił „Warszawie" Witold Chwalewik. Pisał o niej:

„...Można sprzeczać się o wartości „bezładu“. Bezsprzeczne to, że zanikł, jak nigdy, ideał jasności i logiki. Nikt u nas do niedawna nawet wyobrazić go sobie w nowoczesnej beletrystyce nie umiał. Niespodziewanie uprzytomnił go ze świetnością osobistego wyrazu — niezależny poeta, a przez to dał utwór w całym powojennym dorobku naszej beletrystyki — poniekąd najoryginalniejszy. Odciętym od Europy przypomniał; siłę jednej wielkiej tradycji europejskiej, a nerwami, sercem, obserwacją najściślej wiążąc swą rzecz z rodzimością, przysporzył utworowi prawdy i uczynił ze swej bajki wiadomość poetycką, godną przetłumaczenia na obce języki. A do skarbca trwałych wartości literatury ojczystej dorzucił już, szczęśliwiec, swoją odrobinkę“.

Bardzo pochlebnie — często serdecznie, często z podziwem — pisali o autorze „Warszawy“: prof. T. Sinko, prof. Andrzej Tretiak, Adolf Nowaczyński, Leon Pomirowski, Piotr Grzegorczyk i inni. Czy przyniosło to popularność autorowi, czy przyczyniło się do rozsprzedania małego nakładu książki? Widocznie musiały dla niej nadejść czasy inne, musiało ją dostać w spadku nowe pokolenie — w tym samym stopniu przejęte głodem dobrej książki, co miłością Warszawy.

Stefan Godlewski urodził się w Warszawie dnia 5 sierpnia 1894 roku. Wychowywał się i kształcił we Lwowie.

Od roku 1911 przebywał w Warszawie. Tutaj uprawiał krytykę literacką i teatralną. Wydał trzy tomiki: „Grabinka“ (1927), „Warszawa“ (1931) i tom wierszy „Śladami Wokulskiego“ (1937). W ostatnich latach przedwojennych ogłosił szereg artykułów i studiów poświęconych twórczości Prusa. Z jego inicjatywy wmurowano na Krakowskim Przedmieściu oryginalne tablice ku czci bohaterów „Lalki“.

Dnia 7 marca 1941 roku zostaje aresztowany, więziony na Pawiaku i wywieziony do Oświęcimia. Tam zostaje skazany na śmierć przez zagazowanie.

Niemiecki dokument urzędowy podaje datę Jego zgonu: 6 września 1942 roku, godzina 6 rano. Według świadectwa współwięźniów żył w obozie i umarł jak bohater.

*

Wydanie niniejsze mało się różni od wydania z roku 1931 (pozbawionego ilustracji). Ocalał egzemplarz książki z poprawkami autora, tutaj uwzględnionymi. W latach poprzedzających wojnę Godlewski przygotowywał wydanie drugie, do którego ilustracje rysował prof. St. Noakowski.

T. B. Syga

Warszawa



Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy,
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem...

(Syrokomla)

Komuż mam dedykować tę książkę, jeżeli
Nie Tobie, nieodrodna wnuczko Izabeli
Z Łęckich, droga Laleczko tegoczesna, której
Zawdzięczam więcej szczęścia i sroższe tortury,
Niż mój mistrz i przyjaciel Wokulski — Lalusi,
Twojej babce...
Tak, Lalu, książka moja musi
Podziękować Ci ślicznie za oba spacery
Autem do Wilanowa, za trzy, czy też cztery
Przechadzki, za spotkania w kinematografie,
Których na poczekaniu zliczyć nie potrafię,
Za wszystkie miłe słowa na balu w Resursie,
Za uśmiechy zdawkowe, które ja po kursie
Szczerego złota brałem, za mękę przewlekłą
Oczekiwań daremnych, za raj, czyściec, piekło,
Widziane dzięki Tobie we śnie i na jawie,
Maleńka Beatrycze moja, tu, w Warszawie,
Gdzie asfalt kolorowo poezją zakwita,
Kiedy go raczysz deptać Ty — niepospolita
Porcelanko - cacanko, Ty — księżniczko Lalu —
Z ołowianym serduszkiem niezdolnym do żalu,
Z trocinkami w łebuszku, z duszyczką kolibra,

W której, gdy wiersz ten czytasz, ani jedna fibra
Nie drga o włos... co mówię!... o pół, o ćwierć włoska.
Musiała Cię w dzieciństwie urzec „Karaboska“,
Bo czyż mogłabyś woleć ode mnie papużki
I małpki salonowe, gdyby nie czar wróżki,
Carabosse, niegdyś wiedźmy garbatej z francuskiej
Bajki, następnie bony na wsi białoruskiej?
Pomimo to, Lalusiu, racz przyjąć naręcze
Brukowych, dziennikarskich kwiatów. Będą — ręczę —
Bez porównania dłużej kwitły i pachniały,
Niż róże z Królikarni, którem Ci przez cały
Smutny jeden listopad przywoził.
Księżniczko
Lalu! Książeczki mojej pierwsza czytelniczko!
Jeżeli ją przeczytasz od deski do deski,
Zmów—po polsku—paciorek do Mniejszej Tereski,
Nie za to, że w Łazienkach, pod pałacem króla
Mieszka w gmachu podwodnym trytonica Lula,
Ani za to, że Wisła w piasku swoim tuli
Lalkę Leta i śpiewa jej od wieków „luli“,
Ale za to, kukiełko krucha, że dopóki
Będą strzelały w niebo świętojańskie łuki,
Dopóty w każdy piątek, Laleczko, u Fary,
I za Ciebie też będzie broczył krwią krzyż stary.

Było to pod wieczór, latem, na ławce w Alejach Ujazdowskich, opodal Belwederu. Zawracałem głowę pewnej pannie... Hance, ślicznej studentce polonistyki i — ku zmartwieniu rodziny — „adeptce“ modnych kursów dramatycznych. Przykład szedł z góry: na niebie żółtodziób nowik przedświętojański olśniewał jakąś dopiero wschodzącą, ale już wprawną w mruganiu gwiazdkę.

Parę chwil temu zbliżył się do nas z prośbą o ogień do fajki bakobrody, siwy jegomość w mundurze weteranów. Wspierał się na kulach. Z jednej nogawicy sterczało mu szczudło. W uchu miał kolczyk; a na piersi krzyż Virtuti Militari. Z powodu gorąca (upał był taki, żeśmy odwlekali powrót na kolację) rogatą czapkę trzymał pod pachą. Łysinę szpeciły mu dwa guzy. Ponieważ właśnie moja towarzyszka studiowała dramaty Wyspiańskiego, ja zaś akurat świeżo napisałem bajkę na temat mitologiczny — narośle owe dały mi pochop, po odejściu starca, do żartobliwej mistyfikacji.

— Wie pani, kto to? — spytałem, gdy zniknął w defilującym przed nami tłumie.

— Nie wiem — odrzekła panna Haneczka, zajęta rewią strojów.

— Zwróciła pani uwagę na jego czaszkę?

— Na te guzy? Pewnie kaszaki.

— Nie, proszę pani. To nie kaszaki.

— Tylko co?

— Szczątki utartych rogów.

Uśmiechnęła się.

— Pani się śmieje? Pamięta pani „Noc listopadową"? To właśnie jeden z tych kozłoludów, którzy występują w piątej odsłonie. Pani przypuszcza, że ja żartuję? Słowo poety, że to szczera prawda. Jest to niejaki Damazy Tęporóg, b. baletnik Rozmaitości. Gdyby się pani dobrze przyjrzała naramiennikom jego munduru, toby pani zauważyła cyfry 1830. Tak, panno Hanko. Ten dziad to satyr, rogaty i ukopycony. Lat temu sto słynął w Warszawie jako zawołany facecjonista. W wodewilu „Faust i Małgorzata", w wieczór wybuchu powstania, zjawił się na scenie w olbrzymim pirogu, parodjując W. Ks. Konstantego. W bitwie pod Grochowem, służąc w „Czwartakach", postradał nieborak racicę. Teraz jest seniorem Związku Weteranów i emerytem Teatru Narodowego.

Panna Hanka słuchała bajdurzeń tych z uśmiechem, który dowodził, że jej nie nudziły. Zalotne, ciemno-modre jej oczy migotały nawet zaciekawieniem. Udając, że bierze żart mój na serjo, stroiła minkę pensjonarki. Popuściwszy tedy cugle fantazji, jechałem na tym koniku dalej. Utrzymywałem z całą powagą, że kozłoludy ist-



nieją rzeczywiście; wykazywałem jasno, jak na dłoni, że mitologia nie jest urojeniem. Czyż nie świadczy o tem niedawno otwarta w Zachęcie wystawa obrazów Malczewskiego? Czyż galerie sztuki i biblioteki mało zawierają prawdy tej dowodów? Cytując bez zająknienia Conopiusa (Filipa):

ORBIS NYMPHARVM
ET
SILVANORVM
TO JEST
ŚWIAT PANIEN Y MĘŻÓW
DZIWNYCH

którzy nad borami/ lasami/ gaiami/ drzewami/ górami y iaskiniami/ źrzódłami/ strugami/ rzekami/ polami a ogróycami pieczę sprawuią

W KRAKOWIE
Z DRVKARNIE LAZARZOWEY
A. D.
MDLXVII

nadawałem mojej improwizacji pozór wywodu naukowego. Twierdziłem, że w starożytności bóstwa olimpijskie oraz półbogi czczono powszechnie nie tylko w Grecji i Rzymie, ale na całym świecie. („W Polszcze Iowisza zwano niegdy Yeszą/ Marsa Ładą/ Plutona Nyią/ Dianę

wołano drzewiey Dziewanną/ Ceres Marzanną/ Venus Dzidzileią. Dryady/ hamadryady/ naiady/ oready/ pa=ny/ silvany/ satyry/ fauni a priapowie y wszystki inne czarty/ rusały a dziwożony pospolitą cześć u śmiertel=nych mieli y szczodrémi świat darzyli dobrodzieystwy.") *Później, w średniowieczu, kult ich potępiono. Faunom rogatym wymyślano od diabłów, prześladowane nimfy musiały dla niepoznaki przebierać się za stare wiedźmy.* („Atoli poniektórym mężom poćciwym/ ludzkim/ uczonym a znamienitym y onego czasu iawiły się rade w postaci wróżek bardzo urodziwych.") *W epoce rene=sansu dzięki humanistom odzyskały dawny wpływ i przywileje. Za Jagiellonów wychrzczonym faunom na=dawano indygenaty. Kochanowskiego „Satyr abo dziki mąż" jest rymowaną oracją sejmową napisaną dla ko=złoluda, obranego posłem.*

— *Co się tyczy nimf — to, proszę pani, Konopjusz powiada w końcu dzieła,* że „dla swey gładkości chutnie są gaszczane na dworach xiążąt wszego krześćyaństwa". — *Goszczono je na nich chętnie i w czasach późniejszych, czego dowodem Wilanów i Łazienki. Były kochankami polskich Augustów, począwszy od Zygmunta aż do Stanisława.*

— *A o tem skąd pan wie? — spytała panna Hanka, ubawiona moją erudycją.*

— *Od przyjaciela, który z jedną z nich miał przed kilku laty romantyczną awanturkę.*

— Ma pan przyjaciela, który kochał nimfę?

— Mam.

— Któż to taki?

— Nazywa się Jacek Wolski. Chce pani posłuchać jego przygody?

— Ależ oczywiście. Umieram z ciekawości.

Siedząc do tej pory na tej samej ławce, oprócz nas, jakieś dwie inne pary, zniecierpliwione moim bredzeniem, wstały przed chwilą i na szczęście poszły. Mogłem więc swobodnie opowiedzieć bajkę, którą wykończyłem przed paru dniami, a której rękopis zatytułowałem:



Grabinka



U mojego króla
Grabina i Lula...

(Piosenka warszawska z czasów Stanisławowskich)



I

Jacek Wolski, z powołania poeta, pracował na chleb gorzej niż prozą: robił, pożal się Boże! korektę w „Kurierze Powszednim“, najstarszym i najnudniejszym z dzienników zachowawczych. W kasztach i linotypach owej gazety chochliki drukarskie mnożyły się tak licznie, że—jak zapewniał po pijanemu metrampaż—nie można ich było wytępić ani proszkiem perskim, ani wodą święconą.

Jacek walczył z nimi kopiowym ołówkiem, lecz fiołkowa trucizna mało skutkowała, przy robocie bowiem myślał o swoich sonetach, notując nieraz rymy na mokrej bibule odbite. Wiersze swe najczęściej wrzucał do

kosza, nie będąc nigdy z nich zadowolony. Marzył o napisaniu czegoś niezwykłego, o czymś, czego jeszcze nikt przed nim nie opiewał.

Pewnego razu do późna przechadzał się po Łazienkach, polując nadaremnie na temat arcydzieła. Ani się opatrzył, jak zapadł wieczór. Z przykrością posłyszał trąbkę, zapowiadającą zamknięcie bram. Aczkolwiek nie wpadł na trop żadnego pomysłu, nie chciało mu się jeszcze wracać do domu, zwłaszcza, że park pachniał, niczym pasieka.

Niebo było podobne do odwróconej czaszy, z której wyciekły ostatnie krople miodu. Przez cały dzień lał się z niej rzęsiście słoneczną patoką, lipiec, kapiąc skroś liści w gęby obleśne rzeźbionych kozłoludów. Ściskając w łapach pęki trzcin, robili takie miny przez sen kamienny, jakby pieścili w marzeniu ponętne driady. Teraz lada chwila miało zacząć spływać po ich capich brodach mleko księżyca, lada chwila bowiem z obłocznych koronek miała się obnażyć wezbrana pełnią pierś Seleny.

Ogrodnik, zajęty płoszeniem zakochanych par, skręcił w boczną ścieżkę, nie widząc poety. Buczenie smutne trąby odzywało się coraz dalej i słabiej.

Jacek odetchnął. Mógł spacerować, dopóki mu się podoba. Bodaj do rana.

Paląc papierosa, obszedł dokoła staw. Było parno, acz mgłę tępiły w zarodku ciepłe podmuchy. Niebawem poświata rozproszyła mrok. Mdłe cienie szukały przytułku

pod drzewami, sadzonymi z rozkazu Stanisława Augusta na porębach zwierzyńca książąt mazowieckich. Świersz-cze rżnęły od ucha baletom komarów, żaby wtórowały produkcjom solowym ptaka, śpiewającego na wyspie naprzeciw amfiteatru. Koncertu tego słuchały z wyżyn paradyzu, siedząc tam kamieniem, zmurszałe posągi (podówczas jeszcze nie odnowione). Przystanąwszy na mostku, co dzieli dwa stawy, Jacek podziwiał fasadę pałacu, nader wyraźnie powtórzoną w wodzie. Było tak widno, że rozróżniał nawet liście akantu na głowi-cach kolumn. Zdawało się, że drzwiami i oknami ryby mogłyby wpływać do środka i wypływać na zewnątrz.

Próżno zarzucał wzrok w rozmigotaną wodę, po któ-rej krążył w oddali bezsenny łabędź. Nie wyłowił nic, oprócz kilku porównań oraz przenośni. Poczuł znużenie. Postanowił spocząć pod ulubionym grabem, ocieniają-cym ławkę nawprost wysepki. Była to jego „świątynia dumania“. Wysiadywał tam nieraz długimi godzinami czytając — albo marząc. Kiedy się zbliżył do znajomego drzewa, zaczęło ono nagle szumieć i trząść się, jakby do-stało dreszczów, z pnia zaś — o dziwo! — wyszła nie-ludzko piękna, naga kobieta. Stłumiwszy z trudem okrzyk zachwytu, poeta przycupnął za krzewem tui. Nimfa ziewnęła, przeciągnęła się, przetarła powieki. Bro-dząc po rosie zestąpiła nad wodę. Właśnie gdy końcem stopy badała, czy nie za zimna, od drugiego brzegu po-

derwał się łabędź. Z łopotem i pluskiem puścił się ku niej, spienił rozprutą powierzchnię i przypadł do jej kolan. Oganiając ręką natarczywy dziób, pogrążała zwolna nadobną smukłość łydek, ud, bioder, łona. Ilekroć ją chwytał, zmuszała napastnika do odwrotu chlustaniem, lub też po prostu wpychała go w głąb. Snać ją łaskotał, bo przeciągłym śmiechem budziła echa w fałszywych ruinach na wyspie.

Skoro już kręgi fal ucałowały jej brodę, a pod miedziane włosy, splecione w grecki węzeł, podesłały krezę z księżycowych lśnień — wówczas pierzasty zalotnik jął pływać naokoło i wyczyniać różne mimoplastyczne popisy. Dopóty roztaczał przepych niepokalanych piór, puszył okazałą pierś, wyginał świetną szyję — aż jędrne kształty boginki wynurzyły się na wierzch. Raptem rozpiął loty, runął na nią znienacka, przyparł ją do brzegu. Wyskoczywszy na ląd, pośliznęła się, prześladowca zaś w lot wyzyskał sytuację. Obalona na plecy stawiała przez chwilę opór, starając się wydobyć spod rozpostartych skrzydeł, ale niebawem dała za wygraną. Chichot jej umilkł, a wieczorną ciszę zaprawiało tylko rzępolenie świerszczów, kumkanie żab, oraz głuchy zgiełk dalekiego miasta.

Otuliwszy nimfę żywą pierzyną, ptak objął szyją toczone ramię i skubał ile wlezie pulchny kark. Odpłacając mu pięknym za nadobne, darła zeń pierze całymi

garściami. W powietrzu wirowały i padały na trawę zwiewne kłęby puchu.

Po jakimś czasie łabędź odszedł na bok — nastroszony, odęty. Ruszał się teraz niezgrabniej od byle kaczora. Starannie wygładził pomięte pióra, popłynął z powrotem ku łabędziej budce i prawdopodobnie zasnął z głową pod skrzydłem. Ofiara jego leżała ciągle bez ruchu w pozie godnej Boucher'a, albo Fragonard'a. Pod osłupiałym Jackiem dygotały nogi. Serce mu waliło tak, że je słyszał. Wahał się, co czynić.

Nagle—ugodzony potężnym kopnięciem poniżej krzyża—zanim się obejrzał, zarył nosem w trawę. Struchlawszy, nie wiedział na razie, co właściwie zaszło, a kiedy wreszcie uświadomił sobie, że leży jak długi—uznał za przezorne udać nieboszczyka. Wstrzymując oddech, nadstawił uszu. Usłyszał rozmowę:

— Biedaczysko, zemdlał — mówił głos kobiecy. — Może nie żyje? Słuchajno, Panfilu — toby było straszne, gdybyś go zabił. Radźże przynajmniej, co teraz robić? Ratujże go!

— Jeeżeeli pani grabina rozkażee — jąkał bekliwie ktoś zwany Panfilem — wrzucee go do wody. Ocuci go od razu...

— Ani mi się waż! Kopyta przy sobie. Tegoby tylko jeszcze brakowało. I tak już ciężko odpokutował nieborak niewinną przyjemność podglądania mnie. Zamiast

pleść głupstwa, połóż go raczej na wznak i daj mu powąchać trzeźwiących soli.

Rozkaz spełniono natychmiast. Para krzepkich dłoni obróciła młodzieńca twarzą ku gwiazdom, a wkrótce potem jęła mu drażnić nozdrza gryząca woń. Kichnął w niebogłosy, usiadł—otwarł oczy. Wytrzeszczył je ze zdumieniem na dziwnego lokaja w pąsowej liberii, który pochylał się nad nim, trzymając w ręku kryształową flaszeczkę. Fagas ów miał gębę wygoloną, porytą zmarszczkami. Z pod białorunnej peruki sterczały mu nad czołem malutkie różki. Poły oszytego galonami fraka sięgały do goleni, porosłych siwą wełną. U stóp błyszczały polerowane racice.

— Ależ ja go znam! — wykrzyknęła nimfa, przyjrzawszy się młodzieńcowi z bliska. — To stały bywalec Łazienek.

Po czym, zwracając się wprost do Jacka:

— Niech pan, proszę, wybaczy memu służącemu. Nie wiedział, że wizyta pańska sprawi mi przyjemność. Widuję pana często na mojej ławce. Zawdzięczam panu nawet miłe dystrakcje. Nie dawniej, jak onegdaj, nudząc się wewnętrz grabowego pnia, zazierałam ukradkiem przez szczelinę w korze w „Bajki" Andersena, w których się pan rozczytuje. Bardzo się pan potłukł? Jak się pan czuje? Panfil, proszę w tej chwili pomódz panu wstać!



Kozłonóg, który tymczasem schował flakon z solami do sporego puzdra, stojącego opodal, dźwignął poetę z ziemi, otrzepał mu ubranie i, odszukawszy kapelusz, podał mu go z ukłonem.

Jacek oswoił się już z widokiem żywej driady i prawdziwego fauna.

— Pozwoli pani — rzekł — że się jej przedstawię. Jestem Wolski, literat.

— Literat? Jaka szkoda! Stokroćbym wolała, żeby pan był prawnikiem, medykiem lub teologiem...

— A to dlaczego, jeśli wolno spytać?

— Choćby ze względu na tajemnicę zawodową. Literaci bywają niedyskretni. Od kiedy jeden z nich zawiódł moje zaufanie, przyrzekłam sobie nigdy się z nimi nie zadawać. Dotrzymałam słowa przez sto pięćdziesiąt lat...

— Wygląda pani najwyżej na...

— Mam więcej. Lecz nie mówmy o tym. Mówmy lepiej o panu. Ileż lat pan sobie liczy?

— Piątego sierpnia skończę dwadzieścia.

— Proszę... i już — literat! Pisuje pan wiersze? Prawda?

— Nie wydałem jeszcze moich sonetów.

— To jest okoliczność łagodząca. Spróbuję pana wyleczyć z tego brzydkiego nałogu. Może mi się uda. Jak panu na imię?

Kiedy je wymienił, oświadczyła, że go będzie nazywać Gackiem Długouchem. Uszy miał odstające.

— A teraz niech pan grzecznie posiedzi na ławce i zaczeka, aż się trochę ogarnę. Potem zapraszam pana na kolację. Wszak mi pan nie odmówi swego towarzystwa?

Ubieraj mnie, Panfilu! — Skinęła na lokaja. A zwijaj się duchem!

Kozłolud, dobywszy z puzdra przybory toaletowe, zaczął z wprawą doświadczonej garderobianej, nacierać swą panią pachnącymi wódkami. Poddawała biernie kosmatym jego łapom gibkie członki, osnute brzoskwiniowym puszkiem. Nozdrza jej drgały, wchłaniając rzeźwe aromaty, pod cieniutką skórą drgały muskuły, skroś niewysłowienie delikatnej cery widać było żyłki, tętniące krwią błękitną. Ukończywszy masaż, Panfil wzuł bogince srebrne pantofelki o czerwonych korkach, następnie, klęcząc, dzierżył przed nią lustro, ona zaś, w blasku pełni księżycowej, uczesała się, przykryła miedzianość włosów białymi puklami peruki pudrowanej, uczerniła brwi, uczerwieniła usta, dołek na lewym policzku ozdobiła muszką. Ze szmaragdami w uszach, z biczem pereł na szyi, ująwszy w jedną rękę wysoką laseczkę, u przegubu drugiej uwiesiwszy wachlarz, strzeliła w młodzieńca zielonymi oczyma, jakby pytając, czy jej w tym stroju do twarzy.

— Bardzo się pan znudził?

— Nie miałem kiedy. Toaleta bogiń trwa krócej, niż kobiet normalnych.

Wypowiedział to zdanie z miną zblazowaną, maskującą brak wszelkiego doświadczenia.

— Teraz chodźmy jeść — rzekła driada. — Mam wil-

czy apetyt. Ale, ale, prawda! Pan jeszcze nie wie, kto pana ugaszcza... Nazywam się Filis Grabowska. Musiał pan o mnie słyszeć...

Złożyła poecie menuetowy dyg.

— Proszę mi podać ramię... Czemu pan patrzy na mnie z takim zdziwieniem?

— Sądziłem, że pani Grabowskiej było na imię Elżbieta i że oddawna leży już w grobie. Tak utrzymują podręczniki historii; tak mnie uczono...

— Wyjaśnię to panu później. Teraz jestem głodna. Zaręczam tylko, że nigdy w życiu nie umierałam. Wierna memu nazwisku, je me porte comme un charme!

Depcząc kobierzec miesięcznego blasku, aplikowany cieniami gałęzi, skierowali się w stronę głównej alei. Sprzątnąwszy gotowalnię, Panfil ruszył przodem. Kiedy się zbliżyli do Białego Domku, wpatrzonego w park rozjarzonymi żółto otworami okienic, jedna z portefenêtre'ów otwarła się naścieżaj, z progu zaś kozłolud w liberii zaanonsował:

— Podano do stołu.





II

W maleńkim gabineciku o freskach, co udają wnętrze altanki, (widać z niej panoramę malowniczej okolicy, góry, zamek, zatokę, nimfy kąpiące się w rzece i Stanisława Augusta, który, otoczony wytworną socjetą, płynąc czółnem, chyłkiem podgląda je przez lornetkę), czekała na nich zaciszna kanapka, przed nią zaś stolik nakryty na dwie osoby. Blask świec zapalał tęcze w kieliszkach ze rżniętym w szkle herbem Grabie. W chińskim wazonie kwitło naręcze herbacianych róż. Panfil usługiwał cicho, jak cień. Racice jego, podklejone wojłokiem, stąpały po parkiecie, nie sprawiając hałasu.

— Pieeczonee gołąbki à la „Samee do gąbki" — oznajmił z namaszczeniem, prezentując półmisek.

— Arcydzieło kulinarne kuchni belwederskiej — objaśniła Filis. Otrzymuję jedzenie z najwyższego stołu. Dostojny kolator Łazienek i Jego małżonka, acz oficjalnie nie mogą uznawać mego istnienia, potajemnie nie szczędzą mi nieustannych objawów sąsiedzkiej życzliwości.

— Dlaczego nie jawnie? — zapytał Jacek, nadziewając na widelec ptaszka.

— Ze względu na masonerię, od której poparcia zależą państwowe pożyczki zagraniczne. Masoni, jak wiadomo, to bezbożnicy. Płatni przez nich spryciarze w profesorskich togach i przemądrzali zarozumialcy, roszczący pretensję do miana filozofów, wmówili światu, że bogów nie ma. Sfałszowali historię od A do Z. Mnie na przykład zowią w książkach swych Elżbietą, by nikt się nie domyślał mojej boskości. Nimfy są prześladowane na każdym kroku. Gdy która z nas bez przebrania pokaże się na ulicy, pierwszy lepszy policjant aresztuje ją pod zarzutem obrazy dobrych obyczajów.

Jako współpracownik „Kurjera Powszedniego", Jacek korygował często artykuły, demaskujące intrygi masonerii. Wiedział, że wolnomularze są wrogami religii i że ich loże wywierają wpływ na rządy, parlamenty, giełdy i wszechnice. Nie przypuszczał jednak, aby mocarstwo anonimowe było potężne aż tak dalece.



Podawszy deser, Panfil pozostawił ich sam na sam. Przed tym zamknął okno, ze względu na ćmy i komary, natomiast otworzył zwierciadlane drzwi do sąsiedniego pokoju. Paliło się tam dyskretne światło. W płytkiej alkowie stał zielony mebel. Jacek starał się zgadnąć, czy

to łóżko, czy sofa. Po pierwszym kieliszku kręciło mu się w głowie. Siedząc tuż przy bogince, wdychał zapach jej ciała, namaszczonego perfumą. Nie śmiał się przyglądać zbyt natarczywie. Żałował, że lustro naprzeciw, nad kominkiem, wisiało za wysoko, by mógł niepostrzeżenie napawać się jej widokiem.

— Pozwalam panu teraz zapalić papierosa. Zdążyłam polubić tytoń, którym mnie pan podkurza pod moim grabem.

Wydobył papierośnicę z ostatnim „damesem".

— Czy mogę pani służyć?

Częstując ją, skorzystał z okazji spojrzenia na jej wdzięki.

— Ma pan tylko jednego?... Niech pan pali sam...

— Sam nie zapalę za nic.

— A więc wypalimy go oboje razem!

Wzięła papieros w usta, zatliła go od świecy, puściła kłąb dymu i oddała Jackowi. Gdy się zaciągnął z kolei, zabrała mu go znowu. Powtórzyła to pięć, czy siedem razy Młodzieniec nabrał tupetu. Już się nie krępował zapuszczać żórawia jawnie. Pragnął zabawę przeciągnąć jak najdłużej. Była poniekąd pocztą pocałunków.

— Czuję, że pan ma szaloną ochotę pocałować mnie. Ale nic z tego, Gacku Długouszku. Uprzedziłam pana, że z poetami — nigdy.

— Skądże ta niełaska na nieszczęsnych poetów?

— O! to cała historja! Jeśli pan jej ciekaw, to ją panu opowiem:

Od kiedy król mi nadał tytuł i charakter pierwszej driady łazienkowskiego parku, ściągnęłam na siebie nienawiść dawnej faworyty, hofsyreny Luli. Durząc się niegdyś w jej czarującym sopranie i klasycznej urodzie, Stanisław August popełniał dla tej cudzoziemki (pochodziła z Włoch) tysiące szaleństw. Opętała go do tego stopnia, że chciał się z nią ożenić i byłby to uczynił, gdyby mu pacta conventa nie zabraniały zawierać małżeństwa bez zgody sejmu. Nie mogąc tej zgody uzyskać, osypał syrenę gradem zaszczytów. Kazał jej wizerunek umieścić w herbie Warszawy zamiast portretu dawnej potworzycy z czasów Zygmuntowskich. Nad brzegiem stawu, w zwierzyńcu ujazdowskim, wzniósł amfiteatr pod gołym niebem, aby miała gdzie dawać koncerty, po środku zaś stawu zbudował pałac, którego dolne piętra, zanurzone w wodzie, zajęła Lula z fraucymerem najad. Pokażę panu okna jej apartamentów. Dziś mieszkają tam tylko szczupaki i karasie. W zielonawym mroku głuchoniemej wody tańcują do upadłego lub błądzą z sali do sali, a gdy się pomęczą, odpoczywają pokotem w łożnicach z konch, na bursztynowych stołach, na siedziskach z szyldkretu i na posadzkach z masy perłowej. Pałac podwodny łączył się z komnatami królewskimi za pośrednictwem basenu w „Pokoju Kąpielowym“, od

którego pochodzi nazwa Łazienek. Basen ów skasowano, lecz do dzisiaj dnia zdobią przedsionek pałacu rosochate świeczniki w kształcie krzewów koralu, łazienkę zaś ornamenty w formie morskich muszel — pamiątki romansu króla z wodnicą.

— Co się z tą Lulą stało? — wtrącił Jacek, napełniwszy kieliszki na nowo.

— Wkrótce po rozbiorach wywieziono ją do Rosji. Z całej plejady dworzan nieśmiertelnych zwrócono przed paru laty tylko mnie oraz kammersatyra Panfila, razem z inwentarzem zbiorów łazienkowskich. Ale wracając do rzeczy... o czymże to chciałam mówić?... Aha, o przyczynie mojej poetofobii...

Otóż Stanisław August rychło się Lulą znudził. W żyłach wodnicy płynęła krew rybia. Wpadłam mu w oko, jako koryfejka kordebaletu nimf. Kazał mi wybudować ten Biały Domek, a do pokoju kąpielowego zachodził tylko po to, żeby się wykąpać. Wypadłszy z łaski, syrena do spółki z kamarylą, której marszałkował obersatyr Ryx, knuła kabały, aby mnie zgubić. Nie dawałam się jednak ani rusz złapać w zastawiane sidła, przyprawiając maîtresse en titre o żółtaczkę. Raz wynalazła w swoim włoskim mózgu pomysł zaiste machiaweliczny. Przybocznym szwadronem lejbcentaurów gwardji J.K.M. dowodził niejaki rotmistrz Bucfałł, chłopokoń na schwał smagłej cery a gniadej maści, z oczyma jak smoła

i z ogromnymi wąsami, cieszący się niebywałym szczęściem do kobiet. Kiedy, eskortując królewską karosę, sadził w posuwistych lansadach i kurbetach na czele swego oddziału przez Krakowskie Przedmieście, warszawianki ciskały mu z okiem pod złotem kute kopyta najpiękniejsze kwiaty swoich doniczek. W trikornie z pióropuszem na pudrowanych włosach, z ryngrafem srebrnym na piersi, z lamparcim czaprakiem na grzbiecie, dzierżąc nagi rapier w łosiowej rękawicy, wyglądał — zabójczo. Nie było takiej kobiety ani takiej klaczy, któraby mu się potrafiła oprzeć. Miał też tyle kochanek, ile włosów w ogonie; ogon zaś nosił długi, fryzo-



wany, ozdobiony kokardą z racymorowej kitajki. Słynął jako rębacz, bibosz i kostera. Siedział po uszy w długach u żydów. Wiedząc o tym, Lula namówiła go, aby mnie porwał i zdezerterował do króla pruskiego. Porwanie miało się odbyć z siódmego na ósmy maja, podczas nocnego festynu z racji imienin królewskich. Jako komendant warty pałacowej Bucfałł nie lękał się pościgu. Wszystko zapewne poszłoby jak z płatka, gdyby zausznik syreny, starosta piaseczyński, nie wypłacił z góry sowitego zadatku. Strąbiwszy się jak Bela w wigilię zamachu, rotmistrz wygadał się ze swoich planów. Zdegradowany i wypędzony z wojska, grasował później za rogatkami, trudniąc się rozbojem, dopóki w karczemnej zwadzie chłopi czerniakowscy nie przepiłowali go poniżej pasa. Oderżnięty od końskiego kadłuba, wiedzie dzisiaj nędzny żywot inwalidy, żebrząc pod kościołem na Placu Trzech Krzyży.

Tu Filis przerwała, aby zwilżyć usta winem.

— Jakto! — wykrzyknął Jacek. Więc ten beznogi kaleka, którego tak często spotykam po drodze w Aleje, jest przepiłowanym na pół centaurem? Cóż za wspaniały temat do sonetu! Ale jaki związek ma ta historią z pani uprzedzeniem do literatów?

— Zaraz się pan dowie. Opowieść nie skończona. Lula zawiedziona w swoich nadziejach, bojąc się ryzykować intryg na większą skalę, uciekła się do środków, nie

grożących jej w razie niepowodzenia kompromitacją. Rozpuściła pogłoskę, że zdradzam króla, pogłoskę niezupełnie wyssaną z palca. Trudno. Albo się ma temperament nimfy, albo się go nie ma.

Ze wszystkich rymopisów, zapraszanych na obiady czwartkowe, najsprawniej i najwytworniej jeździł na pegazie Staś Trembecki. Spędziwszy młodość na dworze Ludwika XV, był on wersalczykiem od pięt do czuba i wzorem rycerskości. Władał równie dzielnie szpadą, jak piórem. Przypiął klingą do trawy tyluż przeciwników, ilu ich ustrzelił pociskami dowcipu. Inni — Węgierski, Zabłocki — prześcigali go może rączością i zuchwalstwem, Krasicki wysokością, Naruszewicz zaś wytrwałością lotu, ale żaden z nich nie sprostał Trembeckiemu ani w elegancji trzymania się na siodle, ani też w zręczności powodowania skrzydlatym rumakiem.

Ilekroć, dosiadłszy wierzchowca, wzbijał się w niebo ponad Łazienkami, aby wyczyniać na wysokościach różne karkołomne szprynce i woltyże, tylekroć cały dwór z pałacowego tarasu, zbrojny w lornety i dalekowidze, podziwiał jego zgrabność i odwagę, wznosząc okrzyki pełne zachwytu. Wierzchowiec Trembeckiego zwał się Kallipteros. Posiadał z łaski królewskiej rzędy sadzone perłami. Wielbicielki poety karmiły go słodyczami i zabiegały o zaszczyt trefienia mu grzywy. Skoro na rozkaz jeźdźca po wylądowaniu zginał kolana przed gronem

dam — panie kłóciły się między sobą, kto ma mu przypiąć do uzdy odpiętą od gorsu różę.

Niekiedy galanterii pełen kawaler brał którąś z nas na siodło i wiózł na spacer. Zamiatając park ogromnym cieniem niepokalanie białych skrzydeł, Kallipteros frunął w przestwór gwieździsty lotem kołyszącym pieszczotliwie. W miękkim puchu piór, niby w ciepłym gnieździe, oddalałyśmy się od towarzystwa, które powiewało ku nam chustkami, podobne gromadzie laleczek w krainie zabawek. Malały nam w oczach wieże świętokrzyskie, Kolumna Zygmunta, lśniące skręty Wisły. Oglądałyśmy z bliska konstelacje, wśród których błyszczy Ciołek herbowy Poniatowskich.

Zachwycona tymi eskapadami, wyrobiłam poecie klucz szambelański. (Klucz ten, mówiąc nawiasem, zleciłam dopasować do zamka u drzwi mojej sypialni). Nie spodziewałam się, że niebawem gorzko tego pożałuję.

Autor „Arkadii“ oraz „Powązek“ zadedykował mi sążnisty poemat pod tytułem „Łazienki“. Wyśpiewał w nim patetycznymi rymami swoje miłosne przygody z patron-

ką parku Filidą. Rękopis poematu wykradziono mi i podrzucono królowi. Szczęściem bukolika była bardzo długa. Najpogodniejszy Pan, czytając ją do poduszki, po pierwszej strofie ziewnął, po trzeciej zasnął. Znalazłam skrypt nazajutrz przypadkiem pod łożem królewskim, zaszedłszy według zwyczaju powiedzieć królowi dzień dobry. Oczywiście spaliłam od razu, nie troszcząc się zgoła, co powie o tym potomność. Trembeckiego nie chciałam więcej oglądać na oczy. Pegazowi jego kazałam obciąć loty. Szambelan z rozpaczy wyjechał na Ukrainę, gdzie umarł, napisawszy słynną „Zofjówkę“. Kallipteros został szkapą dorożkarską; musi jak lada wałach harować na garść obroku. Wprzężony do lichej dryndy, tłucze się po mieście, wożąc pod batem byle hołotę. Nikt z pasażerów nie domyśla się, że blizny na jego grzbiecie są śladami skrzydeł. Od owych czasów poetów strzegłam się jak ognia. Jest pan pierwszy, z jakim rozmawiam, od półtora wieku.

— Przeklinam dzień, w którym posłano mnie do szkoły. Cóżbym za to dał, żeby nie umieć pisać!

— Patrzy pan na mnie łakomie, jakbym była tomem nieznanych bajek. Obserwując onegdaj, jak czytał pan Andersena, lękałam się nie na żarty, że żarłoczne źrenice wyjedzą z książki papier do ostatniej kartki i że pustą okładkę rzuci pan w krzaki, jak torbę po czereśniach.

— Alboż stworzył ktoś bajkę fantastyczniejszą od tej, jaką w tej chwili czytam w oczach pani? Precz z literaturą! Trzeba być osłem, żeby zadawalać się rojeniami, gdy najbujniejsza nawet wyobraźnia ani się umywa do rzeczywistości!

Porwał butelkę wina i nalał go po raz trzeci. Sięgnąwszy po jego kieliszek, Filis wymownym gestem podsunęła mu swój. Trącili się i duszkiem wypili do dna:

— Na pohybel poezji!





Ocknąwszy się nazajutrz w jednym z tych pokoików Białego Domku, na piętrze, których główną ozdobę stanowią kopersztychy do „Przemian" Owidiusza, Jacek z przerażeniem dostrzegł na zegarku, że dochodziła piąta po południu. Przespał okrągło dwanaście godzin, przyprowadzony przez nimfę tutaj, na górę, ponieważ łóżko-sofa, w dolnej sypialni paradnej, okazało się sprzętem równie dekoratywnym, jak niewygodnym. Do redakcji już się nie miał poco śpieszyć, punkt bowiem o drugiej z bramy „Kurjera" wybiegała na miasto chmara rozno-

sicieli, obwieszczających wniebogłośnym krzykiem o wyjściu z pod prasy powszedniego „numeru“.

Głowiąc się, czymby usprawiedliwić nieobecność w „budzie“, młodzieniec wstał z łóżka, aby zamknąć okno, gdyż na dworze lało jak z cebra. Kamienny faun naprzeciwko, skulony pod brzemieniem słonecznego zegara, zdawał się zasłaniać przed strugami ulewy płytą kompasu, jak parasolem. Patrząc w rozmokły, posępny ogród, poeta bębnił marsza o zaszlochane szyby.

Wyrwało go z zadumy ciche skrobanie do drzwi. Wrócił pod kołdrę.

Do pokoju wszedł Panfil w szarej kurtce funkcjonariusza państwowych gmachów reprezentacyjnych.

Racice schowane miał w butach, ogon w pantalonach, różki pod kędzierzawą, szpakowatą czupryną, nagarniętą na czoło. Niósł na tacy kawę, jajka, bułki, masło, paczkę damesów i maleńką kopertę z lakową pieczątką.

— Pani grabina przeesseeła ukłony, i prosi żeeby pan przyszeedł pod grab jak tylko przeestaniee padać.

Postawił tacę na stoliku, przysunął go do łóżka i zabrał ubranie poety do oczyszczenia.

Po odejściu służącego Jacek złamał pieczątkę z dziewięciopałkową koroną, lecz zamiast bileciku znalazł w kopercie listek grabowy.

Schowawszy go do pugilaresu, wziął się do śniadania; kiedy się zaś posilił, zapalił papierosa i pogrążył się we

wspomnieniach nocy ubiegłej. Wskrzeszał w pamięci scenę z łabędziem, poznanie się z Grabinką (tak ją obecnie nazywał), kolację i wreszcie to, co nastąpiło później, po wstaniu od stołu. Przypomniał sobie każde słowo nimfy, natomiast własnych słów wcale nie pamiętał. Zapomniał na śmierć, że, zanim go uszczęśliwiła, przysiągł, że już nigdy nie popełni rymu. To też, gdy teraz znienacka zaświtał mu w głowie pomysł sonetu, poddał się z rozkoszą nakazowi natchnienia. Rozkleiwszy kopertę po liściku Grabinki, spisał na niej stylografem, nie ruszając się z pościeli, wiersz p. t.

CZWARTEK

Co czwartek przybywali, wietrząc już z daleka
Kadzidło komplementów i zapach pieczeni,
Goście gwiezdnych gościńców pyłem opyleni,
Których u swego stołu król z obiadem czeka.

Napoje pamiętają Popiela i Ćwieka.
Jadłu nie brak attyckiej soli, ni korzeni,
Lecz każdy nadewszystko wety sobie ceni:
Krem z niebieskich migdałów i ptasiego mleka.

Jedzą, piją, bywało, a przytem w zawody
Trzęsą niby z rękawa, satyry i ody,
Których rymy od sztućców srebrnych srebrniej dzwonią.

A równocześnie w żłoby pałacowej stajni
Hojnie sypali obrok dworscy rękodajni
Kurtyzowanym, ale skrzydlatym ich koniom.

Ledwie ukończył robotę, zjawił się Panfil z ubraniem i dzbankiem wody.

— Ośmieelam sieę zameeldować, żee już trzy na siódmą. Pani grabina peewniee sieę nieecierpliwi...

Pokój był pełen dymu. Jacek nieświadomie przy pracy wykurzył dziesiątek papierosów. Służący otworzył okno. Deszcz już nie padał. Powietrze pachniało lipami i ozonem.

W pół godziny później poeta, oczadzony jeszcze twórczością, ale umyty i ogolony brzytwą Panfila, w kołnierzyku wywiniętym na czystą stronę, sadowił się na wilgotnej ławce pod zmokłym grabem. Niebo było szare, zachmurzone, smutne; staw zamącony i zmatowiały; komary brzęczały melancholijnie; na zabłoconej ścieżce podskakiwała żaba.

— Jakże się spało? — zaszumiało drzewo, okapując Jackowi kapelusz kropelkami.

— Spałem jak suseł. Dopiero co wstałem. Dziękuję za liścik. Mam go na sercu.

Wszczęli gawędę o brzydkiej pogodzie, po czym przeszli na inne, bardziej poufne tematy. Wykorzystując tę okoliczność, że naokoło nie było żywego ducha (późna pora i błoto nie zachęcały nikogo do spacerów), driada wysunęła z pnia najpierw rączkę, potem zaś i główkę. Gwarzyli długo. Skoro się ściemniło i otrąbiono zam-

knięcie Łazienek, nimfa wyszła z drzewa, spowita z powodu chłodu w chlamydę z białej wełny.

— A to co takiego? — spytała, wskazując niedomyty kleks na dłoni Jacka, zauważony w blasku dwunastego z kolei papierosa.

— To nic... To tylko... powalałem się, dotknąwszy stylografu.

Kłamiąc, poczuł, że mu odstające uszy nabiegają krwią.

— Pamiętaj Długouszku, — pogroziła mu palcem — że atrament plami nie tylko skórę, ale i honor! Wczoraj dałeś mi słowo, że już nigdy w życiu nie będziesz pisał wierszy.

— Ja dałem słowo? Chyba po pijanemu!

— Po pijanemu, czy nie, dość że je dałeś. Przysiągłeś nawet, a wiarołomcom biada! Nie zapominaj, że jestem boginią!

— Ależ Grabinko, to niemożliwe... Z czegożbym żył?...

Nimfa zrobiła minkę zdziwioną.

— A z czegoż ty żyjesz? Przecież nie z wierszy?

— No nie, ale... bądź co bądź, utrzymuję się piórem. Pracuję w dziennikarstwie.



— Gazeciarz!!! — krzyknęła boleśnie. — O ja nieszczęśliwa! Gdybym o tym wiedziała, kazałabym go wczoraj Panfilowi utopić!

Stała przed poetą z załamanymi rękoma, jak posąg Rozpaczy.

— Uspokój się Grabinko. Nie param się reporterką. Nigdy w życiu nie popełniłem wywiadu, ani nawet wzmianki. Robię korektę w „Kurierze Powszednim". Dziennikarstwa nie cierpię. Mam do niego wstręt.

— Uff! — odetchnęła z ulgą. — Spadł mi kamień z serca. Lękałam się, że trafiłam gorzej. Istotnie, nie ma obawy, by organ tak moralny poruszył sprawę tak bardzo drastyczną, jak kwestia nimf.

Tonem lodowatym zagadnęła Jacka, ile mu przynosi jego zajęcie. Powiedział sumę, rumieniąc się nie za siebie, lecz za administrację.

— A gdybym tak mu zaproponowała posadę zyskowniejszą? Na przykład... sekretarza do szczególnych zleceń przy mojej osobie?...

Jacek parsknął śmiechem.

— Cóż po sekretarzu, któremu nie wolno pisać? Ale czumuż, Grabinko, mówisz do mnie tak zimno? Jesteś niedobra!

— Sekretarz jest mi potrzebny nie do gryzmolenia, lecz po to, żeby trzymał za zębami sekret!!!

Młodzieniec zbladł. Wstał z ławki, ukłonił się nimfie

i odszedł bez słowa. Żywił nadzieję, że Filis pobiegnie za nim i że go przeprosi. Uszedł już jednak spory kawał drogi, a Grabinka nawet się nie odezwała. Ambicja nie pozwalała mu się obejrzeć. Ociągając się, skręcił na taras. Przystanął przed pałacem, żeby związać pęknięte sznurowadło. Odwróciwszy głowę, ujrzał boginkę nad samą wodą. Kiwała ręką, lecz nie ku niemu, ale w drugą stronę, w stronę budki łabędziej.

Jacek kichnął. Na mokrej ławce nabawił się kataru. Przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu chustki, wyrzucił rękopis swojego sonetu. Zanim się schylił, wiatr porwał świstek i zaniósł hen, aż na środek stawu. Nadpływający łabędź wyłowił papier. Z kopertą w dziobie sunął ku brzegowi, aportując ją swojej pani.

Nie ciekawy powitania Grabinki z ptakiem, poeta ruszył w kierunku najbliższej bramy, od ulicy Agrykola. Dławiła go wściekłość, a równocześnie zbierało mu się na płacz. Wtem, gdy już minął oficyny pałacowe, stanął jak wryty, nie mogąc postąpić kroku. Jakaś tajemna siła złapała go za nogi. Spadł mu kapelusz. Przeszły go ciarki. Dotknąwszy zdrętwiałą dłonią zjeżonych włosów, stwierdził, że przeistaczają się w liście. Chciał wołać ratunku, lecz język mu skołkowaciał i odmówił posłuszeństwa. Wyszarpnął nadludzkim wysiłkiem stopy z półbucików i szalonemi susami naprzełaj trawnika pognał ku wyjściu. Na szczęście brama była otwarta

(używają jej mieszkańcy pałacyku Myśliwskiego), a że czar boginki nie miał mocy poza obrębem Łazienek, przeto poeta uniknął przemiany w grabowe drzewo. Skończyło się na utracie obuwia, które zdążyło zapuścić korzenie, i na metamorfozie jasnej czupryny w miotłę prętów, szumiących blond-zielonawem listowiem.

Biegnąc ku miastu pustą ulicą, na której już paliły się latarnie, zdyszany Jacek przystanął pod pomnikiem Sobieskiego, by zaczerpnąć tchu. Odrętwienie palców i języka minęło. Oprócz włosów zgrabiały mu tylko paznogcie. W dali majaczyły bliźniacze pałace Stanisława Augusta i syreny Luli. Pałac faworyty ledwo było widać, ze stawu bowiem parowała mgła. Równocześnie niebo się rozchmurzało. Rokokowy księżyc w rozczochranej peruce i zrudziałym żabocie uśmiechał się szyderczo.

Zmęczony wędrówką bez butów (— musiał stąpać ostrożnie, by nie przekłuć skarpetki, którąś z tkwiących w błocie gwiazd, albo, co gorzej, nie wpaść z kretesem w niebo—), poeta przystanął powtórnie przy studzience, podobnej do nagrobka z urną, pod wzgórzem porosłym przez Ogród Botaniczny. Posławszy Łazienkom skroś sztachet spojrzenie pożegnalne, słuchał gadania wody, lejącej się z pyska rzeźbionego lwa.

Przejeżdżał pusty taksometr. Młodzieniec chciał go zatrzymać, lecz mechaniczne konie, wprzężone w motor spłoszyły się i pierzchły w panicznym popłochu.

Na rogu Alei napotkał dryndę. Ani chuda szkapa, ani dorożkarz nie okazali zgoła zdziwienia. Kazał spuścić budę i po chwili namysłu, gdzieby o tej porze znaleźć fryzjera, rzucił adres:

— Do Łaźni Rzymskiej!



Kiedy skończyłem opowiadanie, gwiazdy rozpleniły się już obficie. Granatowi nieblos sprzeciwiała się zieleń drzew, podświetlona elektrycznością. Gdzieś niedaleko grała orkiestra. Bodajże w Bagateli. Zagłuszał ją hałas tramwajów i pobekiwanie automobilów.

— Niech się pan przyzna — rzekła panna Hanka tonem żartobliwym, — że ten Jacek Wolski z odstającymi uszami, to jest po prostu pański pseudonim. Teraz pojmuję, dlaczego nie chciał pan pójść onegdaj na „Fircyka w zalotach" do Pomarańczarni. Boi się pan Grabinki. To jasne.

Nie zaprzeczyłem. Spojrzałem na zegarek. Było po jedenastej. Mojej towarzyszce groziła w domu bura za spóźnienie. Powstaliśmy zatem i, wmieszawszy się w spacerującą po deptaku ciżbę, postępowaliśmy wzdłuż ławek gęsto obsadzonych.

Po drodze panna Hanka mówiła z zachwytem o teatrzyku w Pomarańczarni, zwłaszcza o freskach, co

imitują loże z publicznością w strojach rokokowych. Chwaliła się, że i ona także zrobiła w Łazienkach odkrycie mitologiczne. Odkryła w bufecie bożka, imieniem Mazagran. Tak opiewał napis na jednym z klasycznych posągów.

U wylotu Agrykoli zaczepił nas amorek w przebraniu ulicznika, sprzedający róże.

— Wie pan co? — powiedziała panna Haneczka, gdy zatrzymałem się, żeby kupić kwiatów. — Jeżeli pan nie kona z głodu, to przejdźmy się jeszcze do mostu Sobieskiego. Tak, czy owak, mama da mi reprymendę. Wolę ją dostać o kwadrans później. Chcę rzucić okiem na pałac Luli. Jaka szkoda, że jej w nim niema!

— Ona tam jest — —odparłem, skręcając w prawo. — Wróciła do kraju wkrótce po Jackowej przygodzie. Znajomy pani mecenas W., który, jak pani wiadomo, był członkiem delegacji rewindykującej po traktacie ryskim zabytki polskie od bolszewików, i który w swoim czasie przywiózł z Leningradu w plombowanym sleepingu Grabinkę, opowiadał Jackowi, że podczas rewolucji hofsyrena przeszła straszne opały. Czerwoni marynarze, złowiwszy ją w sadzawce parku carskosielskiego, byliby ją niechybnie rozpłatali i usmażyli, gdyby nie interwencja komisarza Sztuk Pięknych. Którejś soboty, wracając o świcie z redakcyjnego dyżuru, Jacek zobaczył na Nowym Świecie strażacką platformę, zaprzężoną w per-

szerony. Wieziono na niej ogromną beczkę z godłem magistrackim. Konwojowali ją konni policjanci. Domyślił się, że to beczka z Lulą.

Zaciszność ulicy, którąśmy szli, skłoniła mnie do zamilknięcia. Wąskość chodnika dała mi pretekst do wzięcia towarzyszki mojej pod rękę. Doszedłszy do placyku, gdzie Agrykola krzyżuje się z gościńcem, przerzynającym Łazienki, przystanęliśmy, żeby się przyjrzeć perspektywie drogi za szachetami. Zdawało się, że cały park śpi, umorzony jaśminowym czadem. Od aromatu ziół świętojańskich kręciło się nam obojgu w głowach. Choć nie minęła pora słowików, w parku było cicho, jak makiem siał. Umilkły żaby i nawet świerszcze nie zakłócały snu nocy letniej.

— O czym pani duma? — zagadnąłem.

— Nie ma pan pojęcia, co bym za to dała, żeby pańska bajka nie była bajką.

O parę kroków stamtąd zabielał między lipami pomnik króla Jana. Gdyśmy do niego podeszli, przypomniałem sobie, że Sobieski był wcieleniem Marsa. Jak widać na pomniku, nosił on, oprócz kontuszów, anachroniczne starorzymskie zbroje. Sprzymierzywszy się ze sprawą Krzyża, hetmanił skrzydlatej husarii niebian.

Nie powiedziałem tego. Rycerz z piaskowca wyglądał onieśmielająco. Gałęzie lip rzucały na niego ruchome cienie. Rozbrykanie fantazji nieco mnie rozstroiło. Wy-

dało mi się, że posąg grozi buławą błyszczącemu nad parkiem półksiężycowi.

Odwróciłem głowę. Spojrzałem na pannę Hankę. Była bardzo blada. Zanim otwarłem usta, by spytać, co jej jest, dała mi znak, żebym był cicho. Wskazała staw.

Skamieniałem.

Aczkolwiek bowiem pałac Łazienkowski był nieoświecony, dwadzieścia sześć okien jego odbicia w wodzie (mieszkania Luli) oświecało się po kolei.



Pronobis



...u Fary,
Gdzie Pan Jezus stary...

(Szczątek zapomnianej pieśni)

I

Od czasu przygody z Grabinką Jacek Wolski cierpiał paraliż talentu. Przez trzy kwartały nie mógł skojarzyć ani pary bodaj częstochowskich rymów. Chociaż setkami ćmił papierosy i marnował libry papieru, nie wynikało z tego nic, prócz bólu głowy. Próbował biedak tworzyć też prozą, rychło atoli przekonał się, że jest to sztuka o wiele trudniejsza od pisania wierszy. Przeżuwał gorzkie owoce doświadczeń podczas korekty w „Kurierze Powszednim“ i zapijał je po kawiarniach wystygłą melancholią.

Jacek był chłopcem dosyć pobożnym. Odmawiał pacierz rano i wieczór. W niedzielę i święta bywał na t. zw. „mszach dla leniuchów“ u Św. Krzyża. Przypuszczając, iż postradał zdolności wskutek grzechu z nimfą, modlił się do Świętego Antoniego, ażeby mu pozwolił zgubę odnaleźć.

Któregoś popołudnia około Wielkiejnocy wałęsał się po Starym Mieście z napółpowziętym postanowieniem pójścia do spowiedzi. Od zamiaru tego odwodziło go

wspomnienie pieszczot driady. Nosił w zanadrzu, w pugilaresie, otrzymany od niej, zasuszony listek i roił czasem, że nuż tej wiosny uda mu się wznowić z nią stosunek. Notabene Rynek jeszcze nie był upstrzony polichromią. Środek jego zajmowała studnia z Syreną. Dookoła niej bawiły się gromady dzieci. Napełniały plac wesołą wrzawą.

— Domy staromiejskie, — myślał poeta, — są brudne, jak moja dusza. Gdzieniegdzie jednak umyto już na święta szyby. Marcowe słońce przeziera się w nich z upodobaniem. Przypomina trochę Oko Opatrzności, które widziałem, przechodząc Piwną. Gołąb, co grzeje się w ciepłym blasku na samym czubku domu „Pod Murzynem", wygląda jak złocony symbol Ducha Świętego. O Boże mój, czemuż nie czuję skruchy, aczkolwiek wiem, iż ciężko Cię obraziłem. Głowie murzyna odpadł nos. Za to starannie ją pobielono. Główki aniołków, ponad bramą, umalowano na czekoladowo. O Aniele Stróżu, dopomóż mi spełnić, com postanowił, albowiem o własnych siłach nie dam sobie rady.

Po obejrzeniu czterech stron Rynku, zaszedł na placyk za Katedrą. Ostatni raz był tutaj w maju, podczas nieszporów. Witraże rozjarzone między przyporami, szkarpa narożna, lica Kanonii, brodate dzikim winem, sprawiały wówczas wrażenie operowej dekoracji. Teraz placyk ów wyglądał mniej efektownie. Nie było tam żywego

ducha, oprócz gołębi. Spłoszone krokami Jacka odleciały. Obsiadły dom z wykuszem na rogu ulicy Gnojnej.

Przez Dziekanię, pod dzwonnicą skręcił ku głównym drzwiom kościoła. Na Świętojańskiej znieważył mu nozdrza smród skór i śledzi. Ale tuż obok wyraźnie już trąciło ciastem i kiełbasą, w samym zaś widnym wnętrzu świątyni, pamiętającej Piastów Mazowieckich, wonIał gromniczny wosk i kadzidło. Jacek, przeszedłszy wzdłuż prawą nawę, ukląkł na stopniu najwyższym przed kratą kaplicy Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Krucyfiksu nie było widać: zasłaniała go fioletowa opona. Brzask wiecznej lampy migotał rubinowo na bezlicznych wotach, a skośna smuga z okna pod kopułą oświecała pomnik po stronie Epistoły. Wizerunek męża jasnobrodego, z obliczem frasobliwym, patrzył na poetę z malowanej płyty, wprawionej w marmur. Ponad portretem młodzieniec zauważył gmerk patrycjuszowski: podwójny krzyż o dwóch podporach.



Długo korzył się i skrupulatnie robił rachunek sumienia. Ledwie go ukończył, posłyszał chrzęst kluczów, wy-

ganiający ostatnią dewotkę. Zasmucił się na myśl, że będzie musiał odłożyć spowiedź do jutra. Lecz rozejrzawszy się naokoło wzrokiem bezradnym, spostrzegł w najbliższym konfesjonale zaczytanego w brewiarzu księdza. Przepowiedział zatem w myśli Confiteor, zbliżył się do spowiednika, wyliczył grzechy, wyraził żal, przyrzekł poprawę. Ksiądz nie przerywał mu ani słowem. Dopiero przed rozgrzeszeniem wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

— Zmów litanię do Pana Jezusa.

Był to kapłan niemłody, lecz jeszcze złotowłosy. Twarz miał białą, bielszą od pożółkłej komży. Pogodne niebieskie oczy promieniały wprost słonecznie. Jackowi zdawało się, że je gdzieś widział. Zblakła na różowo stuła pachniała liliami. Stary jedwab bardzo zwiotczał. Penitent, przy pocałunku, prawie go nie poczuł. Na ręce, która mu go podawała, błyszczał pierścień z takim samym znakiem, jaki widać na pomniku w kaplicy Ukrzyżowanego.

Wróciwszy przed jej kraty, żeby odprawić pokutę, poeta mylił się wciąż w modlitwie i podejmował ją od początku. Figura Chrystusa — niewiedzieć czemu — była odsłonięta. Ostatni promień słońca pełgał po perłach w cierniowej koronie i ranie w boku. Oczy ocienione włosami prawdziwymi zdawały się łzawić; dłonie i stopy przebite złotymi ćwiekami — ociekać krwią. Na ołta-

rzu stał kielich w welonie... czerwonym. Przed nim klęczał ksiądz w ornacie tejże barwy. Po złotych włosach lecz przede wszystkim po zapachu lilii — młodzieniec poznał swego spowiednika. W miarę im bardziej się ściemniało, tym był pewniejszy, że widzi ducha. Nad tonsurą księdza świtał nimb, za dnia niewidoczny. Wprawiało to Jacka w pomieszanie, ale bynajmniej nie zatrważało. Z czystym sumieniem i sercem pełnym błogości, wsłuchiwał się w pacierz zegara, który stoi obok, a którego szept nie tylko nie zakłócał ciszy, lecz przeciwnie — uwydatniał ją.

Tymczasem za kratą, w poświacie wiecznej lampy, zamajaczyły inne zjawy. Szczupłą kaplicę zaludnił zwolna spory tłum duchów. Zakrystian łysy, żółty, niczym wosk, zapalił sześć wysokich świec, których płomyki rozmnożyły się w świecidłach wotów. Jacek podziwiał futra i hafty na modłę polską i cudzoziemską, kuczmy, ferezje, szuby, teleje, allamody i szustahory. Altembasowe ogony spódnic wlokły się bez szelestu; safiany i kurdybany stąpały po kamieniu, niby po kobiercu. Byli tam kupcy, ławnicy, burmistrze z łańcuchami na piersiach, z kluczami miasta w ręku. Byli starcy w togach doktorskich i młodzi żołnierze z piórami u kołpaków. W ławkach zasiadły matrony, przebierające ziarnka różańców. Przy nich stały córki ubrylantowane i wnuczki ukwiecone, jak na Boże Ciało. Nawprost ołtarza, przed

balaskami, leżała krzyżem panienka w bieli, bez wianka jednak i zakwefiona pokutnie, fiołkowo. Na uboczu wspierał się głową o własny pomnik mąż jasnobrody a smętnolicy. Wszystkie oblicza cechował zresztą smętek nieopisalny.

Ksiądz powstał z klęczek. Rozpoczął mszę. Służył mu chłopaczek w koronkowej kryzie, żałośniejszy chyba od pazia z matejkowskiego „Kazania Skargi". Msza była cicha, chociaż śpiewana, i chociaż w oknie na chór prezbiterium Jacek widział smyczki ruchliwe skrzypiec, altówki i wiolonczeli. Muzykę ich, słabszą od muszej, usłyszał dopiero po Ewangelii. Na Ofiarowanie usłyszał też dzwonek, jakby z tamtego świata. Ale słów kapłana, acz natężał słuch, rozeznać nie mógł. Odgadywał je po ruchu warg, kiedy ksiądz się zwracał ku niemu twarzą.

Wtem kark młodzieńca owiało chłodne tchnienie. Obejrzał się z duszą na ramieniu. O dwa stopnie niżej stało widziadło zakapturzone w parcianej opończy, opasanej powrozem. Jacek znał je z czasów wojny. Wystawało boso przed kościołami, dzierżąc pielgrzymią laskę z krzyżykiem i chorągiewką fioletową, na której bielał napis:

P O K U T A

I teraz miało kostur ów w garści, a pod parcianką włosienicę. U boku, jak dawniej, zwisał na postronku mieszek na jałmużnę. Poeta, podonczas uczniak, spotykając

pokutnika po drodze do szkoły, dawał mu często fenigi papierowe, przeznaczone na drugie śniadanie. Wspomnienia owe wróciły młodzieńcowi otuchę. Po pewnym czasie ośmielił się nawet półgłosem zagadnąć:

— Powiedzcie mi, ojcze, kto jest ksiądz, co odprawia mszę?

Ziębiąc Jackowi ramię dotknięciem, które przeniknęło paltot na wskroś, pokutnik rzekł mu na ucho:

— Błogosławiony Marcin Baryczka.

— A inne mary?

— O tym rozprawiać nie pora. Wiedz tylko, iż cierpią one czyściec. Módl się za nie i dziękuj Bogu, iż podobało się Jego woli, żebyś za życia był przytomny temu nabożeństwu.

Rzekłszy to, pokutnik umilkł. Dzwoniono na Podniesienie. Między Komunią a „Ite missa" zakrystian kwestował. Czerwone złote polskie i węgierskie, gdańskie talary, szwedzkie ferdyngi, orty, klipy, krucierze padały bezdźwięcznie w umocowaną na kijaszku sakiewkę z niemym dzwoneczkiem. Kiedy kwestarz wytknął ją poza kratę, sąsiad Jacka wrzucił dużego, zygmuntowskiego miedziaka. Poeta jednak wstrzymał się od datku, ponieważ wiedział z bajki France'a, że brzęk metalu prawdziwego mógłby duchy spłoszyć.

Niebawem msza skończyła się. Pobłogosławiwszy zebranych, ksiądz wsiąknął w ołtarz. Ministrant, panna le-

żąca krzyżem, mąż smętnolicy i jasnobrody, kupcy, ławnicy i burmistrzowie, doktorzy, żołnierze, matrony, ich córki, wnuczki, a także pokutnik pownikali już to w ściany, już w podłogę. Ostatni zniknął zakrystian. Przed tym pogasił świece. W kaplicy został zapach grobowy, woń lilii i trochę swędu. Oknem zaczął wlewać się księżyc, który zatopił też białe nawy. Cienie kryły się za filarami i w ostrołucznych żebrowaniach stropu.

Jacek dokończył litanii. Spróbował podźwignąć się. Przyszło mu to z trudem. Kolana bolały go niemiłosiernie. Wybiło pół do pierwszej. Nie wierzył własnym zmysłom. Przeklęczał ćwierć doby z przeświadczeniem, że od zachodu słońca nie upłynęła godzina.

W nawie przeciwległej obok grobowca Wolskich ujrzał otwarte drzwi. Od progu widmo w kapicy przyzywało go ruchem ręki.

Słaniając się na nogach, dowlókł się do mary, która podała mu kostur, rzekłszy:

— Wesprzyj się na tym.



Pośrodku Rynku, gdzie niegdyś piętrzył się Ratusz, siedząc z pokutnikiem na cembrowinie studni, plecami do pleców Syreny i odczytując z brukowej mozajki w świetle miesięcznym rzut poziomy gmachu nieistniejącego, Jacek uważnie słuchał powieści:

— Onego czasu starodawnego, kiedy Warszawie nie patronowała jeszcze trytonica, lecz Święty Jerzy, żył w tym mieście kupiec imieniem Jurga. Pochodził z rodu Baryczków, który wydał ongiś Marcina, męczennika, wtrąconego w Krakowie w przerębel wiślaną, za ob-

wieszczenie klątwy Kazimierzowi Wielkiemu. Na malowidle, co ozdabiało lico kamienicy pana Jurgowej, widać było zwłoki Błogosławionego, płynące w górę rzeki. Prócz tej kamienicy miał śpichrz nad Wisłą, w samym zaś Rynku cztery inne domy, a pod nimi sklepy pełne towarów, strzeżonych przez niemieckie skrzaty. Karzełki owe wniosła mu w posagu żona, Jadwiga Burholcerówna, której przodkowie przywieźli je z ojczystego Augsburga.

Duch przemawiał głosem cichym, miłym, acz krzynę chrypliwym. Kaptur osunął się mu na barki, odsłaniając głowę siwą. Wbrew spodziewaniu, lica były młode, pacholęce niemal, prawie urodziwe, lecz równie szare, jak czupryna (popielata, ciemniej nieco na ciemieniu). Sińce wokół oczu czerwonych świadczyły o nocnym czuwaniu, szczupłość rysów nader kształtnych o postach i umartwieniach. Na rękawie ginął w fałdach czarny krzyż. Jacek zauważył go dopiero teraz.

— Otóż ów Jurga — prawił pokutnik — bawiąc w Norymberdze, dotkniętej właśnie z dopustu Bożego trądem herezji, patrzył ze zgrozą na porozniecane przed kościołami stosy. Palono na nich księgi mszalne, szaty kapłańskie, obrazy i rzeźby. Pomiędzy nimi widział figurę Pana Jezusa Ukrzyżowanego, której kacerze odrąbali szyję, ramiona i uda. W nocy, gdy spoczywał w gospodzie, zjawił mu się we śnie Marcin Baryczka. W pra-

wicy dzierżył palmę męczeńską, w lewicy wyrok klątwy na króla. Na zlecenie przodka Jurga wstał z łoża, przy blasku pochodni odgrzebał w popiele okopcony srodze kadłub Zbawiciela, obmył go winem, spowił w prześcieradła i, ukrywszy w wozie z postawami sukna, o pierwszym brzasku opuścił miasto. W Czechach napadli na tabór zbóje, lecz skoro tylko tknęli towarów, pousychały im ręce.

Choć brał przymrozek i wiatr północny tłumił płomienie gazowych latarń, Jacek był zadowolony, że nareszcie siedzi. Przykusztykawszy tutaj o kiju (— który nie stukał i nie rzucał cienia —) wolał marznąć, niż przechadzać się.

— Warszawski snycerz, mistrz Maciej z Pniewa, uczeń uczniów Stwosza, dorobił figurze brakujące członki. Odnowił ją tak znakomicie, że Zbawca Świata wydawał się żywy. Gdy Go przybijano do nowego krzyża, na którym nazajutrz zawisł u Fary, stolarz Białowąs widział, że Chrystus krwawił i płakał. W parę dni potem dziadek kościelny Józwa Ojczenasz, przezwiskiem Bógzapłać, ścierając kurze w Ciemnej Kaplicy, spostrzegł, iż rzeźbie wyrosły włosy. Nim minął rok, zasłoniły całkiem święte oblicze. Na kapitule postanowiono figurę postrzyc. Dokonała tego w sam Wielki Piątek Bona Baryczkówna, córka fundatora. Od tej pory corocznie przed Ciemną Jutrznią obrzęd ów powtarzały cnotliwe panny złotymi

nożyczkami, które służyły ś. p. Annie Mazowieckiej do haftu ornatów.

Obcięte włosy miały cudowną moc leczniczą. Uzdrowiły Piotra Rybitwę, powietrzem ruszonego, wypędziły diabła z Agaty Fierląg, tertio voto Horlemusowej, a nawet wskrzesiły małą Agnieszkę Majeranównę, zadeptaną podczas procesji.

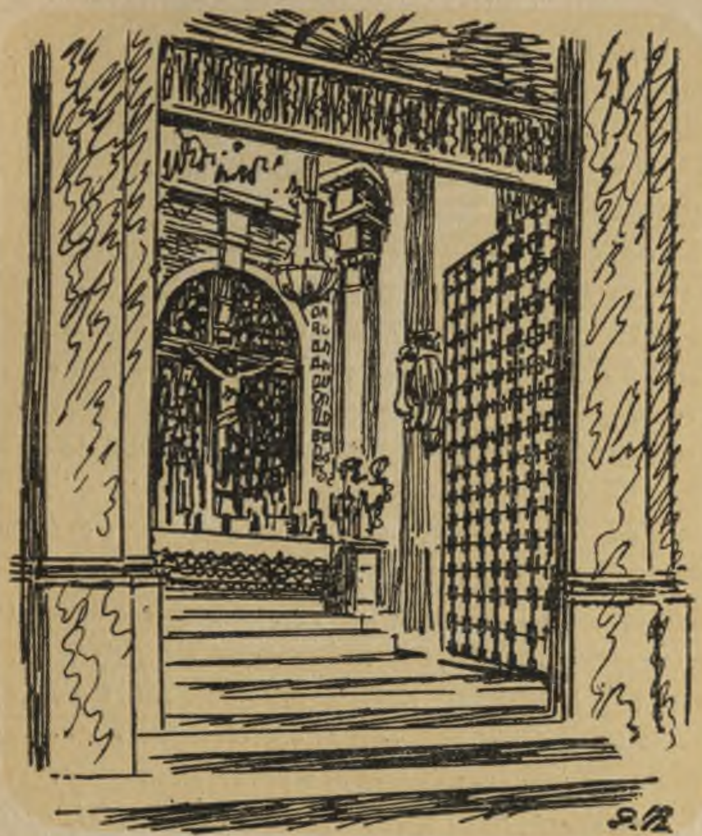
Dębowy krzyż obito srebrem, w cierniową koronę wprawiono perły. Baltazar Fukier, przełożony bractwa pięciurańskiego, sprawił do kaplicy pozłocistą lampę w kształcie okrętu, a wieść o cudach rozmieśli po kraju flisy i oryle.

— Gdzie się ta lampa podziała? — spytał poeta, podnosząc kołnierz.

— Złupili ją szwedzi — odparł pokutnik, po czym ciągnął dalej:

Ukrzyżowany chronił Warszawę od moru, głodu, ognia, powodzi i wojny, powiększał, bogacił, wreszcie uczynił stolicą. Lecz gdy w malowanych kamienicach zamieszkała pycha i jej siostrzyce — łaski Boże zrzedły.

Za przykładem króla Zygmunta III rodzony prawnuk Jurgi, Grzegorz, parał się alchemią, co gorsza zaś czarnoksięstwem. Terminował u Sędziwoja pospołu z magistrem Krzywopatrzem, co w oficynie na Podwalu miał bazyliszka w słoju, jednorożcowe kopyto i mumię smoczka. Ssali też obaj Kabałę na Dunaju Wąskim w domu



z oknami zamurowanymi i ze świecznikiem siedmioramiennym, wykutym nad bramą, u żydowina Egidziego, dawnego rajfura Giżanki, lichwiarza, pomawianego o puszczenie w obieg monet fałszowanych, obrzezywanie dukatów prawdziwych, a nawet o kradzież dzieci na ma-

ce. Kiedy Baryczka ów został wójtem, kaci próżnowali. Nie stawiano pod pręgierzem i nie spalono na Piekiełku ani jednej wiedźmy. Czytywał gwiazdy z wieży ratuszowej, w lochu zaś, nad którym właśnie siedzimy, wywoływał czarta.

Pewnego razu, gdy w Wielkim Poście, zwyczajem wyznawców Ożoga, zabawiał się tańcem salamandry nabitej w butlę, bania owa pękła, wrzący zaś ocet siedmiu złodziei poparzył wójta od głowy do stóp. Przez cztery niedziele, choć kum Krzywopatrz smarował go komarowym sadłem, chory jęczał tak, że się rozlegało aż na Zapiecku. Skoro już śmierć przysiadła na schodach Ratusza, ważąc sobie lekce berdysze trabantów, i otoczona gawiedzią jęła ostrzyć kosę — rodzina uprosiła kanoników, żeby postrzyżyny Pana Jezusa przyśpieszyli o tydzień. Kolatorom kaplicy nie odmówiono. Że zaś Grzegorz był bezdzietny, złotych nożyczek zażyć wypadło bratanicy jego, Kasi, córce Wojciecha. Dziewczyna, padłszy do nóg rodzicielskich, wypraszała się z płaczem od zaszczytu. Lecz kiedy ojciec pogroził klasztorem, spełniła rozkaz.

Lek nie pomógł. Przy biciu piorunów i zawiei śnieżnej, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętali, wójt wyzionął ducha. Wicher obalił wieżę farną, która, padając, strzaskała sklepienie. Cudowna figura ocalała wprawdzie, ale włosy nigdy już nie odrosły. Niebawem miasto spusto-

szył pożar, potem świętojanka zalała śpichrze, następnie szarańcza spadła na plony, później, zapowiedziana kometą i innymi znakami na niebie i ziemi, wybuchła morowa zaraza, wreszcie przyszli szwedzi.

Pokutnik zamilkł. Facjaty domów patrzyły szklanym, zamglonym wzrokiem na zmory koszmarne obłoków. Spuchnięty księżyc w całunie siwosinopłodorudym przypomniał poecie czaszkę zakrystiana. Ani na placu, ani w zaułkach nie było psa z kulawą nogą. Tylko koty na dachach darły się jak opętane.

— Karę Bożą — podjął po chwili opowieść duch coraz smutniejszy — ściągnęło świętokradztwo. Pomimo bowiem błota grzechów, w jakim ugrzęzła głowa miasta, pomimo nawet, że magistrat zmienił pieczęć świętojerską na godło pogańskie, a żydom pozwolił mieszkać intra muros — Pan Jezus nie zsyłałby plag tak obfitych gdyby Kasia Baryczkówna nie poważyła się tknąć figury, mając na sumieniu śmiertelną zmazę. Nie owa zmaza sprowadziła klęski, ale dotknięcie świętości dłonią niegodną.





Kasia była panną najgładszą w mieście. Po matce Cymbarce Dzianotównie odziedziczyła fiołkowe oczy; po ojcu owiesnym, który spoczywa u Fary, rodową jasność włosów. Płeć jej równali wierszopisowie ze śniegiem, mlekiem, łabędziem i lilią... Gdy pod opieką dawnej piastunki, wysznurowana niby łąteczka, w czechełku niepokalanym przechodziła obok kramnic, turcy kupczący muchajerem wypuszczali z ust cybuchy, a przekupnie falendyszów, czamlotów i pandyszparów, zamiatali bruk czapkami, jak przed panią Kazanowską. Gdy zaś bieluchny trzewiczek Kasin przestępował próg kościoła — harcerze królewscy podkręcali wąsa, młodzież zaś co najbogatsza i co najdworniejsza tłoczyła się u kropielnic, żeby jej podać wodę święconą. Choć zalotników liczyła kopę i choć lubiła z nimi tańcować cenary i firleje, przecież o zamęściu w szesnastym roku życia jesz-

cze nie myślała. Podkpiwała ile wlazło z braci Szafrańskich, korzenników, co paradowali pod jej oknami w żupicach pieprzowych i oliwkowych pludrach. Szymona przezywała Cynamonem, Michała — Migdałem. Ale, acz skłonna była do śmiechu, nie zadzierała nosa. Wdała się pod tym względem w ojca, który, uzyskawszy pod Kircholmem klejnot rycerski „Zacne Krzyżowo", pieczętował się do śmierci kupieckim gmerkiem dziadów. Do niedawna miała duszę równie białą jak sukienki, dopóki w niej nie zagrała parmezańska krew Dzianotów z przyczyny mojej.

Zwałem się Roch Pronobis. Pochodziłem z dziada pradziada z rodu organistów od Św. Ducha. Ojciec mój był starszym cechu muzyków i bractwa Św. Cecylii. Ukończywszy Baricianum, szkołę duchowną (założoną przez drugiego Kasinego stryja, księdza Jacka, dominikanina), święceń kapłańskich nie przyjąłem, nie czując powołania, lecz za protekcją Jarzemskiego, co grywał na pozytywie w kapeli nadwornej, zostałem zaliczony w poczet śpiewaków króla Jegomości. Głos mój wonczas nie był, jak dzisiaj, cichy i chrypliwy, lecz brzmiał donośnie i tak dźwięcznie, iż poseł cesarski i nuncjusz papieski namawiali mnie na wyjazd jeden do Wiednia, drugi do Mediolanu. Czuprynę miałem jak kir i czarne oczy. Panna Baryczkówna, usłyszawszy na pasterce moje gorgi i trele, naparła się, abym koniecznie uczył ją śpiewu. Póty bia-

łymi rączkami głaskała jasną brodę owiesnego, aż zezwolił.

Nauka odbywała się na drugim piętrze tego oto domu. — (Mówiąc to, pokutnik wskazał kamienicę trzecią na lewo od Krzywego Koła, różniącą się od sąsiadek piękną attyką i tym, że posiada nie trzy, lecz cztery szeregi okien).

W długiej komnacie z powałą belkowaną, wysłanej skórami niedźwiedzi, ozdobionej szpalerem, co wyobrażał Adama i Ewę pod drzewem wiadomości złego i dobrego uczyłem pannę przy organkach w kącie, obok pieca, podczas gdy bliżej błoniastych okien robiła pończochę piastunka Kasi, Marta Cyrbus. Robiła ją bez okularów, które się zawsze gdzieś zapodziewały, za to z wełną w uszach przeciw przeciągom. Chociaż oczy mi zczerwieniały od krwawych łez, chociaż głowa mi posiwiała od popiołu, którym ją posypywałem, nie mogę dzisiaj jeszcze myśleć o lekcjach owych bez wzruszenia.

Na dworze trzeszczał mróz, brzęczały janczary. Pod okapem skwierczał ogień; meluzyny bodły pułap cieniami jelenich rogów; w skrzyni chrobotała mysz; za kominem rzempolił świerszcz do wtóru sercom, usta bowiem śpiewały niewiele. Mimo to Kasia przez zapusty czyniła postępy. Na ostatki w tłusty czwartek uczęstowaliśmy Martę rywułą zaprawną nasennym proszkiem z apteki Krzywopatrza.

O tym, że chodzę do Baryczkówny, wiedziało całe miasto. Brano ją na języki. Skoro włosy cudowne nie ocaliły wójta, chociaż przyjął był sakramenta — poczęto się do dziewczyny odwracać tyłem. Najskwapliwiej czynili to ci, którzy niedawno najniżej czapkowali. Nie mogła nawet pokazać się w oknie, bo zaraz Głupi Maciuś — niemowa — wytykał ją palcem. Ze zgryzoty żółkła, chudła, w parę lat umarła pojednana z Bogiem, jako pierwsza ofiara zarazy, w dzień Św Jana Damasceńskiego 27 marca R. P. 1626, w samo południe.

Kiedy Łukasz Drewno, burmistrz powietrzny, nakazał grodzić ulice, a na domach zadżumionych malować czarne krzyże, zaciągnąłem się do jego czeladzi. Padali ludzie i bydlęta; krążyły kracząc kruki; trupi cuch zatruwał wszystko — więdły nawet drzewa, na których w braku szubienic wieszano ryczałtem obdzieraczy zwłok. Po całych dniach jęczały dzwony, po nocach zaś rozbrzmiewało żałobne wołanie pachołków zarazy: „Wy, którzy czuwacie, módlcie się za umarłych". Dopótym pielęgnował zapowietrzonych, aż i mnie w końcu trzepnęła chustą Blada Dziewica Moru. Pan Jezus w miłosierdziu nieprzebranym pozwolił mi, jak również tym członkom rodziny Baryczków, których widziałeś w kaplicy, cierpieć karę doczesną pospołu z Kasią. Skazał nas na trzysta lat, licząc od dnia jej śmierci. Ponieważ rozmaite były nasze winy, nie wszyscy jednakowo mękę odczuwa-

my, choć jak robotnicy w winnicy Pańskiej wszyscyśmy otrzymali jedną zapłatę.

Ilekroć Warszawę nawiedza wojna, z rozrządzenia Bożego zjawiam się żywym, nawołując ich do pokuty. Corocznie też wolno mi w postaci, w jakiej mnie widzisz, słuchać mszy odprawianej przez Błogosławionego Marcina w rocznicę świętokradztwa. Wczoraj rocznica owa przypadła w wigilię trzechsetlecia zgonu Kasi. Dzisiaj bowiem mamy dwudziesty siódmy marca, dzień Św. Jana Damasceńskiego. O południu czyściec nasz się kończy. Atoli nocna msza w kaplicy Pana Jezusa odprawiać się będzie przez wieki wieków, gdyż taki jest niedocieczony wyrok Opatrzności. Teraz żegnaj. O dwunastej pomódl się za umarłych. Kościół wprawdzie wtedy właśnie zamykają, lecz, jeśli łaska, odmów Anioł Pański przed figurą Matki Boskiej na Kanonii.

Dniało. Dzwoniono na prymarię. Na Powiślu piały koguty. Od Kamiennych Schodków nadciągnął opar rzeczny i otulił Rynek tumanem tak gęstym, że Jacek ledwie widział sąsiada.

— Na czym polega wasz czyściec? — spytał.

Pokutnik uśmiechnął się smutno i, niknąc w mgle, powtórzył:

— Bądź na Kanonii!



Po prymarii i wotywie, przed którą przyjął Komunię, Jacek odwiedził pobliską razurę z talerzami mosiężnymi zamiast szyldu, po czym przestąpił podkowę na progu malutkiej kawiarenki, odnowionej teraz dość pretensjonalnie, ale wtenczas ozdobionej tylko prymulkami, klatką po kanarku, zegarem z kukułką i oleodrukiem Matki Boskiej Częstochowskiej z zatkniętymi za ramę zeszłorocznymi palmami.

Przed obrazkiem świeciła lampeczka; nad drzwiami do mieszkania właścicielki bielały wypisane święconą kredą litery:



a pod lampą a krzyżowego sklepienia bujał świat z opłatka — zakurzona pamiątka po Bożym Narodzeniu.

Młodzieniec jadł śniadanie bez pośpiechu, gdyż nocny dyżur z soboty na niedzielę uwalniał go raz na tydzień od zajęć przedpołudniowych. Nie chciało mu się wcale spać. Był rzeźki i wypoczęty, jakby msza duchów i rozmowa z Pronobisem przyśniły mu się w łóżku. Wypiwszy cztery szklanki surowego mleka (lubił je pasjami) i spałaszowawszy tyleż pajd razowca z masłem prosto ze wsi, sięgnął po papierosy. Spragniony był dymu bardzo, ponieważ pomiędzy Spowiedzią a Komunią powstrzymał się od palenia. Po krótkiej walce z pokusą wyciągnął z kieszeni blok i stylograf, w którym po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy poczuł dreszcz twórczy. Skupił się i machnął sonet p. t.:

PIĄTEK

Co piątek, kiedy — o czym nikt z nas nie pamięta —
Godzinę Męki Pańskiej wskazują zegary,
W najświętszem miejscu miasta, w kaplicy u Fary,
Spełnia się tajemnica iście niepojęta.

Katedra o tej porze zawsze jest zamknięta,
Lecz, gdyby nawet była otwarta, nikt wiary
Nie dałby pewnie własnym oczom, że ze starej
Rzeźby Pana Jezusa — jeśli nie ma święta —

Sączy się Krew: przez chwilę krótszą od westchnienia
Maleńka rubinowa kropla urumienia
Gwóźdź każdy, cierń u skroni i broszę u żebra.

Chwila mija: — złociściej lśnią złociste ćwieki
I tylko łza rzęsista ciąży u powieki,
Ale schnie, nim spaść zdąży na wotywne srebra.

Wiersz zrazu upoił Jacka. Nie mógł się nim nacieszyć. Przez dwie godziny błądził z mgłą na oczach po Zapieckach, Przyrynkach i słońcem płynących Dunajach, recytując go w myśli nieustannie. Chociaż znał dokładnie kształt każdej literki, przystawał co paręset kroków, wyciągał rękopis z przedziałki pugilaresu, w której chował listek Grabinki, i odczytywał półgłosem, aż się za nim oglądano. Około południa strzeliło mu do głowy, żeby wiersz zanieść do Katedry i złożyć na ołtarzu Ukrzyżowanego jako votum. Ale kiedy zajrzał do kruch-

ty, wrota wewnętrzne zastał już zamknięte. Przypomniał sobie prośbę Pronobisa. Skręcił zatem w bramę pod dzwonnicą i krocząc przez Dziekanię, środkiem jezdni, odczytał sonet poraz setny pierwszy. Tym razem wydał mu się lichy. Zachwyt zgasł; ocknął się krytycyzm.

— Nie rozumiem — myślał, przechodząc pod łukiem ganku, który Katedrę łączy z Zamkiem — jak mi się to wierszydło mogło podobać. Brak metafor i allegoryj, rymy banalne, język pospolity, słabizna! ramota! kosz!

Doszedłszy do figury za absydą, wytrzeszczającą ślepe witraże na Kanonię o barokowych naczółkach i fasadach z przerzedzonym zarostem uschłego wina, zmiął rękopis razem z pamiątką grabową, która przypadkiem przyczepiła się do papieru i cisnął kulkę między gołębie, gruchające na placyku. W tejże chwili zegar zamkowy zaczął wydzwaniać dwunastą. Stado z furkotem wzbiło się w górę. Owiało poetę zewsząd. Ptaki były pstre. Najbielszy miał plamę fioletową. Najbardziej szary z czarnym piórkiem chwycił w dziób pigułkę z sonetu i listka i, załopotawszy Jackowi nad uchem, dołączył się do towarzyszów. Opisując młyńce świdrowate, ginąc, to znowu się pojawiając, gołębie długo żegnały Warszawę łyskającymi coraz srebrzyściej krzyżykami grzbietów i skrzydeł, zanim — bielsze już od obłoczka, co majaczył u zenitu — zniknęły w niebie.

Jacek pozostał w cieniu świątyni aż do obiadu. Kiedy wreszcie zdecydował się wracać do domu, na Wspólną, Katedrę już otwarto, mógł więc ofiarować Św. Antoniemu jedyną złotówkę, jaką miał przy duszy, prócz dwudziestu groszy na tramwaj. Podarował także jakiemuś posłańcowi na Placu Zamkowym skórzaną papierośnicę, podartą wprawdzie, ale pełną. U wstępu w Krakowskie Przedmieście obejrzał się na Stare Miasto, chwalące Boga strzelistością dachów, kolumną Zygmunta, kościołami. Czerwień karpówki i patyna miedzi godziły się cudnie z heraldycznym lazurem niebios, u których zenitu obłok srebrzysty przybrał kształt godła świętojerskiego. Aureola posągu Św. Jana i gałka hełmu wieży zegarowej błyszczały zwycięsko; ołowiane trytony dęły na konchach niemy hejnał, a topole podobne olbrzymim pochodniom dymiły zielonawo. Jacek nabrzmiały był wiosną, jak owe drzewa. Dusza jego również puszczała pędy. Przepełniało ją pragnienie rozrostu, kwitnięcia i owocowania a także wdzięczność niewysłowiona za Dobroć Bożą. Na niebie zafurkotał gołąb benzynowy. Poeta wrócił wzrokiem na ziemię. Przechodząc wpoprzek ulicę, aby na przystanku pod Bernardynami wsiąść do osiemnastki, posłyszał:

— Kurier Powszeee...



P. S. Po napisaniu „Pronobisa" szedłem w śnieżną noc Krakowskim Przedmieściem. Przechodniów było już bardzo mało. Gaszono latarnie. Wracałem ze Starego Miasta, gdzie zasiedziałem się przy butelce w znanej winiarni z okręcikiem u pułapu sieni.

Przechodząc obok Św. Krzyża, zdjąwszy kapelusz przed Figurą, co zdaje się wskazywać palcem reklamę łaźni, przypomniałem sobie, że w tym właśnie miejscu za okupacji niemieckiej najczęściej spotykałem pokutnika.

Kościół oczywiście był zamknięty, lecz przez podwoje krypty przesączał się zapach wosku i kadzidła. Przybliżywszy ucho, posłyszałem najwyraźniej muzykę cichszą od brzęczenia muchy.

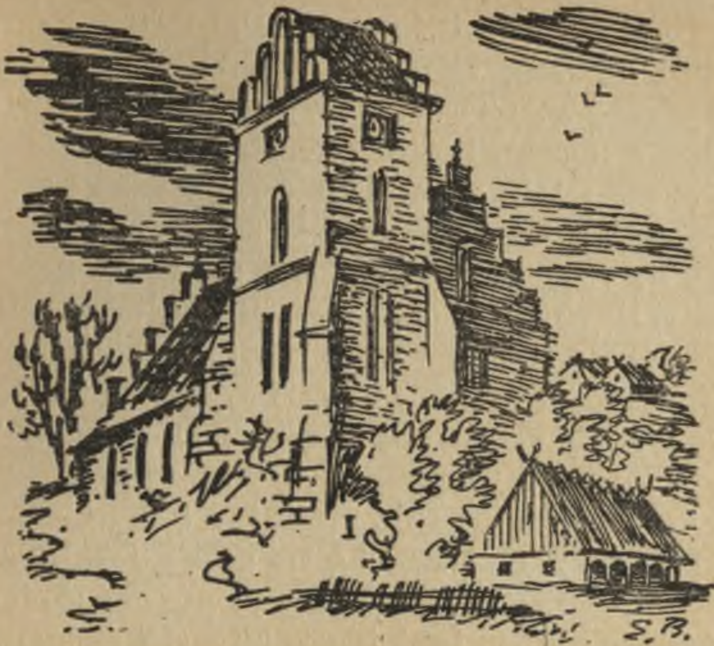
Zląkłem się i uciekłem. Bardzo możliwe, że to było tylko przysłyszenie. Wolę jednak wierzyć, iż w dolnym kościele odprawiali nocną mszę nieboszczycy, których nekrologi Jacek korygował w „Kurierze Powszednim".

Warszowa



— — — — — —
— — — — — —

(Pieśń doszczętnie zapomniana)



Spowiedź staromiejska uzdrowiła Jackowi Wolskiemu talent na krótko. W niespełna kwartał zapadł nieborak na niemoc twórczą znowu. Nabawił się jej wskutek grzechu z nimfą skromniejszą od Grabinki, jedną z tych, które patronują ulicy Chmielnej.

Od owej pory napróżno wyklękiwał w spodniach dziury, prosząc Świętego Antoniego o cud powtórny. Pomimo ofiar na „światło“ i mnożonych wciąż pacierzy, natchnienie młodzieńca nie zapładniało.

Jacek zaczął powątpiewać, czy kiedykolwiek napisze utwór zasługujący na wydrukowanie. Dręczyły go często myśli, że przyszedł na świat tylko poto, żeby korygować błędy w „Kurierze Powszednim".

Jednej soboty, w babioletni poranek wolny od redakcji, polazł bez celu Powiślem ku Cytadeli. Chociaż urodził się w Warszawie i mieszkał w niej rok dwudziesty drugi, zawędrował w tamte strony pierwszy raz w życiu. Mówiąc nawiasem, ze znużenia ledwie powłóczył nogami, gdyż nocna służba w tym tygodniu wypadła mu wyjątkowo w piątek. Ukończywszy ją o świcie, nie poszedł spać, lecz postanowił po śniadaniu orzeźwić się powietrzem.

Dzień był, jak to mówią, wymarzony. Niebiosa, ziemię i wodę czarowała kolorami dobra pogoda. Krasiła suto jaskrawą malowniczością. Litując się szpetocie obydwu żelaznych mostów, kolei, fabryk, parowców dymiących na przystani, robiła co mogła, byle przyczynić im powabu, lubo jej odpłacały czarną niewdzięcznością. Najładniej barwiła rzekę: w „szarej" rzekomo „Wisełce" mieniły się pawio plamy modrozielone, a także srebro i złoto, pożyczane od sokór, których na brzegu przeciwnym jeszcze nie wycięto.

Poeta lazł wzdłuż parkanów samowtór ze swoim cieniem. Czapkę wetknął do kieszeni. Wiatr mu czochrał włosy i oplątywał go w długie, siwe paździerze. Wydawało się pod światło, że to sidła z tęczy.

Słońce prażyło już na dobre. Rozpoczynając przeprawę, błogosławiło w pracy rybakom i piaskarzom, jakoteż w lenistwie andrusom, co brali powietrzną kąpiel na ławicy wprost b. fortu Włodzimierza. Dolazłszy pod zaplecek ul. Rybaki, młodzieniec spojrzał ku P. Maryi, panującej z wysokości piasczystego wzgórza dzielnicy starszej podobno, niż Stare Miasto. Ostrołuki z cegieł, wzniesione w miejscu, gdzie niegdyś — według podania — za czasów prapiastowskich, miała stać kontyna, wskrzesiły w poecie obumarłe wspomnienie przygody z Pronobisem. Umknąwszy wzrokiem od surowych murów, utknął nim w schnących na wybrzeżu sieciach. Opodal leżały do góry dnami czółna i krypy. Inne, umocowane linami do palów, kołysały się na wodzie, która pocichu, ale wyraźnie pluskała: luli... luli... luli...

Jacek wsiadł do łodzi pierwszej z rzędu, umieścił się tuż przy dziobie i zapuścił oczy w rozmigotaną bezlikiem odcieni głębinę. Po paru chwilach doznał wrażenia, że płynie przeciw prądowi. Uczucie to go umorzyło. Kiwając się rytmicznie, tracił pomału świadomość, iż mknące chyżo czółno przytrzymują sznury. Podróżował bez żagla, wioseł i steru, nie licząc się z upływem czasu...

Ocucił go chłód o zachodzie słońca. Łódka ugrzęzła dziobem w sitowiu. Uwiązana była, jak przedtem, do wbitego w ziemię pala. Obok, w tataraku, stało więcej czółen. Inne, dnami do góry, leżały na wybrzeżu, a opodal nich wietrzyły się sieci, rosły wierzby i wiklina. Wyżej szarzało pod brzozowym gajem kilka lepianek poszytych trzciną, którym panował z piasczystego wzgórza budynek drewniany za ostrokołem. Pozatem wszędzie, gdzie okiem tknąć, jeżyły się sosnowe lasy; tylko na przeciwnym brzegu Wisły kawał boru wyprażono. Złoto-ruda puszcza przerżnięta rzeką koloru stalowego, w której mieniły się teraz plamy rdzawo-krwawe, wyglądała w oświetleniu niesamowitym przeraźliwie martwo.

Nie widząc ruder, śmietnisk, mostów, kolei, fabryk, przystani, parowców, parkanów, fortu, ławicy i t. d. Jacek nie był pewien, czy jeszcze nie śpi. Rychło atoli komary przekonały go, że jest przytomny. Rozszerzonymi źrenicami przyglądał się krajobrazowi, który przypominał wprawdzie Chełmońskiego, nie budził jednak w poecie wzruszeń estetycznych, tylko zdumienie. Cisza była głucha. Wiatr ustał. Oniemiały również fale. Pachniało przyjemnie tatarakiem i żywicą, ale to młodzieńca wcale nie pocieszało. Chcąc sprawdzić, która godzina, stwierdził, że stanął mu zegarek, starannie rano nakręcony. Równocześnie zauważył, iż granatowe ubranie całkowi-



cie od paździerzy mu posiwiało. Poczuł lęk. Zatęsknił do wielkomiejskiego ruchu i gwaru. Wypatrywał nadaremnie dymu kominów, bezskutecznie nasłuchując świstu maszyny.

Gdzieś niedaleko zaszczekał pies. W szuwarach zaszeleściło. Z sąsiedniej kępy wyfrunęły trzy dzikie kaczki. Poszybowały zygzakowato ku kępom dalszym, zanim zaś zapadły, nabrały od zorzy barwy złocistej. Oszołomiony szumem skrzydeł, Jacek pożałował, że nie ma

broni, acz dotychczas nigdy nie upolował nawet kaczki dziennikarskiej. Jedynym ptastwem, jakie dość często zdarzało mu się strzelać, były korektorskie bąki.

Szczekanie brzmiało coraz bliżej. Wzmagały je echa. Poeta mimowoli rozejrzał się za kijem. Zdziwił się, gdy spostrzegł, że tyle hałasu sprawia bury szczeniak.

Ścieżką od brzozowego gaju nadeszła za burkiem baba z owitą biało głową, odziana w zgrzebną koszulę, młoda, dorodna, wiodąc parkę nieodrosłych dzieci w obleczeniu bardziej kusym. Miały włosy płowe; skórę ogorzałą. Dreptały na bosaka. Kobieta była ozuta w łapcie. Kiedy zbliżyli się ku sieciom, zostawiła potomstwo przy kupie piasku i obcesowo podeszła do łodzi, w której siedział Jacek. Patrzyła na niego siwymi oczyma tak, jakby się go tu zastać spodziewała. Sięgnęła na powitanie ręką ku ziemi, mówiąc:

— Pochwalo — — —

Nie dosłyszawszy, kogo chwaliła, odrzekł:

— Na wieki wieków.

Zaciekawiał go wyraz jej twarzy równie poczciwy, jak zagadkowy.

— Co to za wieś? — zagadnął, widząc, że go przez grzeczność pierwsza pytać o nic nie chce.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Rybaki.

— A daleko stąd do Warszawy?

Wyszczerzyła zęby.

— Do Warszowej? Ja jestem Warszowa.

Pobladły, bąknął:

— Pytałem... o miasto.

Wzruszyła na to ramionami. Wyczytał z jej miny, że żadnego miasta tu nie ma. Acz jeszcze powątpiewał o tym, iż przez sen odbył podróż w czasie, począł drżeć na całym ciele.

Jęła go tedy pocieszać:

— Czemu się, gościu, tak trzęsiecie? Boicie się baby? Nie bójta się. Dyć was nie ukrzywdzę. Nie poto przecie sprowadziły was bogi z za dziesiąci wieków, żeby was gubić. Jutro powrócicie zdrowo tam, skąd przybywacie. Tu przenocujecie ino dziś. Tak przepowiedziały Praczki. Komu one rade, ten jak u bogów za piecem.

Dzwoniąc zębami, wykrztusił:

— Co to za... praczki?

Pokręciła głową.

— O tym pogadamy potem, bo wystygłaby wieczerza. Jeśli wola, proszę do chaty na chleb i sól.

Skoro wylądował (musiała mu pomódz, gdyż z nadmiaru wzruszeń omal nie wpadł do rzeki), powiadomiła go, że mieszka za Bugajem. Poczuwszy pod stopami ziemię, uspokoił się o tyle, iż przestał drżeć. Blady był wciąż, jak płótno. Kobieta przerastała go o pół czoła. Nos miała nieco zadarty i piegowaty, ale była zgrabna,

jak rzadko. Biło od niej czerstwe zdrowie i zapach surowego mleka. Młodzieniec bał się jej, lecz bardzo mu się podobała. Podobały się mu bardzo także obydwa dzieciaki, baraszkujące ze szczeniakiem przy kupie piasku. Nie odrazu rozeznał, że to chłopiec i dziewczyna. Były do siebie podobne, niczem krople wody.

Zapadał zmierzch. Zorze gasły. Warszowa wzięła córkę na ręce. Brnąc w przedwczesnym listopadzie, minęli gaj brzozowy i, wspiąwszy się stromą ścieżką na piasczyste wzgórze, obeszli budynek za ostrokołem. Wyglądał on jak kościołek, nie posiadał jednak krzyża. Nad krytym gontami dachem sterczały swarogi, wyrzezane w kształcie końskich łbów. Jacek domyślił się, że to kontyna.

Chata, do której szli, drewniana, z bocianim gniazdem na strzesze, stała za świeżym ścierniskiem, pod sosnowym lasem. Gdy byli już blisko, chłopczyk jął tarmosić matkę za koszulę, bucząc:

— Matulu... cycy!...

II

Nakarmiwszy dzieci piersią a młodzieńca jajecznicą, kwaśnym mlekiem, kaszą oraz kołaczem i miodem, nie zapomniawszy o burku i postawiwszy na progu miskę z jadłem dla domowego uboża, Warszowa poruczyła dziewce służebnej obrządzenie chlewa i obory, sama zaś z kądzielą siadła przy gościu, palącym na przyzbie papierosa.

— Nie jesteście głodni? — zapytała, wtykając krężołek z lnem na prząślicę.

— Ale skądże znowu. Najadłem się. Jajecznica była doskonała.

— A spać się wam nie chce?

— Ani trochę. Wyspałem się w łodzi.

— No to cierpliwie mnie posłuchajcie.

Dzieci już spały. Przyjemniej było rozmawiać na dworze, niż w kurnej izbie, gdzie dym gryzł poetę w oczy. Przez rozwarte drzwi padała z wnętrza smuga blasku i dochodziło trzeszczenie gorejącej kłody. Nad kalenicą

stodoły, stojącej naprzeciwko, raz po raz przelatywały lelki kozodoje. Za płotem czerniał bór. Wschodziły niezżęte przez sierpień gwiazdy.

Przędąc, Warszowa gadała:

— Z tamtej strony Wisły, pod Kaczą Kępą, siedział dawniej topielec. Na oko był to stary dziad taki jak i drugie dziady; tyle że z kudłatej brody, co nosił ją do pasa, zawdy mu ciurkiem ciekła woda. Topił on ludziom bydło za to, iż ludzie mu łowili ryby; aliści czasami gubił i człowieka. Jak jechały łodzie, klaskał z daleka w ręce i wołał:

— Jedzie, jedzie,
Mój bedzie! —

W dzień wychodził z rzeki rzadko. Wieczorami lubił, bywało, przesuszać się do miesiąca. Wyłaził sobie u brzegu gdzie na jaką wierzbę i iskał się; a czasem łatał gacie. Robił to sam, choć miał żonę. Tę jego babę ludzie u nas, na Rybakach, przezywali Praczka, bo ona ciągiem pierała różne swoje łachy, albo i cudze, kradzione we wsi z płotów. Była sztrasznie brzydka: miała takie długie piersi, że pomagały jej w praniu lepiej od kijanek. Jak wzięła temi piersiami trzaskać a przybijać, to się rozlegało aż w Jazdowie.

Będzie temu lat pół kopy przez piąci roków, przyszła ona raz pod Bugaj, do chaty moich rodziców, kiedy matula w połednie krzynę się zdrzemnęli, zabrała mnie

do worka, zaś w kołysce ostawiła dziecko swoje. Było ono chude, blade, woda chlupała mu we łbie, nożyska miało koszlawe, brzucho, niby niecki. Robiło często pod siebie i popłakiwało, żarło zaś, nie przymierzając, niczym prosię. Sąsiadki radziły, żeby odmieńca bijać, to Praczka rychło go odbierze, ale matula ani sami chcieli, ani dali tknąć go palcem ojcu. Tacy już byli. Serce im się krajało, przecie się z dolą pogodzili. Po czasie przywykli do podrzutka i chowali go, jak rodzone.

Chłopaczysko — bo to był chłopiec — chował się zdrowo nad podziw. Potłuściał, brzucho mu opadło, nożyska się wyprościły. Mokrzył i płakiwał w miarę, a choć jadł za troje, woda we łbie bogom-dzięki chlupać mu przestała. Jak mu było siedm roków ociec go postrzygli na Warcisława. Przybrali go za syna. Byli już niemłodzi, dzieci się nie spodziewali, chaty ostawić nie mieli komu. Żyli w biedzie. Cały ich dobytek to była jedna krowina, czółno i sieci. Myśleli sobie, że jak Warszek podrośnie, weźmie je w puściźnie.

Ale wiadomo: chłop strzela, bogi strzały noszą. Warszek do czasu nie wiedział, że jest podrzutkiem. Nie rozumiał, czemu ludzie patrzyli na niego krzywo, chocia im nic nie zawinił. Oprócz matuli i ojca nikto go nie cierpiał. Każdy pędził precz, jak parszywe szczenię. Nawet dzieciaki. Niech go zobaczyły, zara krzyczały: odmieniec. Długo nie miarkował, co to słowo znaczy. My-

ślał, że to jest ot takie sobie wyzwisko. Dopiero kiedy już zaczął pasać Krasulę, pouczyły go pastuchy. Nie chciał im wierzyć. Przybieżał z bekiem do matuli i pyta się jej, czy to prawda. Cóż mieli matula począć? Radzi nie radzi wszystko mu opowiedzieli. Zmartwił się okrutnie. Słyszał od maleńkości o topielcu i o Praczce, że są pokuśniki i złodzieje, których gorszych nie ma w okolicy: gdzie ino mogli, czynili rybakom szkodę. Rzadko się zdarzało, żeby kto ich spomniał, a od uroku nie splunął; albo z obrzydzenia. Nie dziwota, że chłopcu było wstyd takich rodziców, co nimi cała wieś gardziła. Przódziej miał do ludzi żal, że go nie lubili. Tera sam nikomu nie śmiał pojrzeć w oczy. Mało się nie rozchorował. Matula się bali, żeby sobie nie uczynił jakiej krzywdy. Ale nie uczynił. Chciał koniecznie być człowiekiem. Wierzył, że gromada przyjmie go za swojego, byle zasłużył. Więc się starał. Nim tego przecie dokazał, wiele jeszcze wody w Wiśle upłynęło.

Bez ten czas ja chowałam się u topielców. Było mi u nich niezgorzej. Praczka widziała, jak dobrze moi dbali o jej syna, to i sama dbała o mnie, że lepiej trudno. Na mało czym mi nie zbywało. Bo tego syna po swojemu bardzo kochała, a podrzuciła go ludziom ino dlatego, iż słabował; to myślała że on łacniej ozdrowieje. No i się nie omyliła. A miała jeszcze trzy córki, całkiem już duże, brzydule jakó i ona, ino że płaskie jak deski. Cho-

wała je na żabim skrzeku, chocia dla mnie odbierała mleko krowom. Przynosiła mi też ze wsi to chleb, to jaja, co je kradła po chałupach; czasem i kołacze. Te córki mi zazdrościły, nie mówiły przecie nic, bo się bały matki; boby je biła. Ale dosyć mnie lubiły. Dopóki byłam smarkata, cięgiem się ze mną ceckały, całowały, zaś całujący śliniły, aże mnie mgliło. Między sobą także się tak obcmokiwały. Jak podrosłam i pasałam już z nimi ryby, nauczały mnie wszystkiego, co umiały same: rozumieć co gada woda, wróżyć z niej i przedzierzgać się w szczupaka, albo w kaczkę. Ich ociec, jak topił bydło, to się zmieniał w psa, a kiedy manił rybaków, to w węgorza. Kto go łowił, tego chytał jucha za słabiznę i w oczymgnieniu wciągał w topiel. Praczka mi pokazowała różne insze czary. Spodziewała się, że zrobi ze mnie jędzę. Nauczyła mnie też prząść. Tę kądziel, co ją widzicie, to ją mam od niej. Jagem pasała karasie, tom sobie przesiadywała z tą kądzielą na ławicach, grzałam się



do słońca i przędłam po całych dniach. Przez roboty toby mi się cniło. Ludzi nie znałam. Juści byłam ich ciekawa, alem się ich strasznie bała. Niechaj ino podpłynęło jakie czółno, odrazu dawałam nura. Nosiłam zawdy na szyi od utonięcia woreczek z kostką nietoperza. Chadzałam po dnie przezpiecznie i suchą nogą, choć się woda ponademną zamykała. Wolno mi też było bawić się na Kaczej Kępie, aliści za rzekę topielce mnie nie puszczali; ani w lesie, ni na polu noga moja nie postała, póki nie wyzwolił mnie mój Warsz. Było tak: — —

Nić się urwała.

Jacek otwarł usta, aby zapytać, dlaczego Warsza niema w domu, zanim jednak zdążył się odezwać, prządka gadała znowu:

— Razu jednego, jak Warszowi zaczęły się już sypać wąsy, topielec utopił woły dworskie z Jazdowa. Bo trza wam wiedzieć, że w Jazdowie nasz ksiądz-dziedzic włodyka czerski mają dwór. Obesłali po wsiach karby, że kto szkodnika przepędzi, weźmie w nagrodę ziemię. Ale nikto nie ośmielił się go pędzić. Ino Warsz się ośmielił. Wziął nową sieć, przewlekł bez nią, jak się patrzy, powrósło z bylicy, rwanej na nowiu, przeprawił się z wieczora cichcem na Kaczą Kępę od strony łachy, skąd napaści trudniej się było spodziewać, schował łódź w sitowiu, sam się przyczaił w wiklinie, co rosła niedaleko brzegu; leży i czeka.

Jak miesiąc wzeszedł, topielec wedle zwyczaju wylazł z rzeki, żeby się obsuszyć. A był cały nagusieńki, bo właśnie chciał się wyiskać, i woda mu z kudłów ciekła. Kiedy się wdrapał na wierzbę, miesiączek zaszedł za chmurkę i topielcowi nie było dosyć widno, tak wołał do miesiączka:

— Mignij ta, księże, mignij,
Żeby mi było widnij! —

Ale księżyc go nie słuchał, tak topielec wołał głośniej, i gniewał się, i wymyślał księżycowi. A Warsz to słyszał; bierze sieć i podkrada się pod wierzbę. Ale kiedy już był blisko, potrącił niechcący kamień, a ten kamień się potoczył i plusnął do Wisły. A topielec myślał, że to księżyc cisnął w niego kamieniem i tak się przestraszył, że zleciał na ziemię i potłukł się i woła:

— Świć bóg, bom rzyć stłuk!
Trzyścu, Błyścu, jageś móg?
Tageś śmignął, ażem fiknął,
A nie ma ktoby mnie dźwignął. —

Więc Warsz go dźwignął. Jak tylko stanął na nogi, topielec zmienił się w węgorza. Jak się nie zwinie, jak nie skoczy, jak nie machnie ogonem — o mało chłopca nie zrzucił z brzegu. Szczęściem zaplątał się w sieć, zaś przegryźć jej nie mógł, jako że była w niej bylica; to się ino miotał jak oparzony, i wił jak wąż, i gryzł ziemię. Dopiero kiedy już widział, że nie da rady, prosi się

chłopaka, żeby go puścił i obiecuje ludzką mową, ze go wynagrodzi. A Warsz mu na to powiada: ja was puszczę, ale mi, powiada, poprzysięgnijta, że już, powiada, nigdy ludziom szkody robić nie będzieta. A topielec się go prosi, że chciałby się namyślić, czy podoła dotrzymać takiej przysięgi. Wtedy Warsz zawiązał sieć, i powiesił ją na wierzbie, i mówi: no to się namyślajta.

Ułamał potem leszczynowy patyk i poszedł z nim do rzeki, bo tak już sczłeczał, że Wisła nie chciała mu się otwierać; ale jak ją do trzech razy zdzielił patykiem, to mu się przecie otworzyła. Idzie i widzi chałupę plecioną z łozy jak kosze, co się je wkopuje w jazy, żeby ich woda nie rwała. Patrzy, a na przyzbie siedzą trzy dzikie kaczki. A to były właśnie jego siostry. Jak go poczuły z daleka, zara się poprzemieniały, bo myślały, że to idzie jaki obcy; zaś one na gębach strasznie są paskudne i bardzo tego się wstydają. Zaś ja, chwalićbogi, wstydać się nie miałam czego, tom się w kaczkę nie zmieniła; ale żem się okrutecznie tego parobka bała, tom się skryła do obórki. A w tej obórce stały woły księdza-dziedzicowe, co topielec je utopił. Bo te woły w wodzie nie pozdychały, bo one były w zaklęciu. Ale Warsz się nie urodził, jak drugie mazury, ślepy, i od razu nalazł wszystko, czego szukał. A chociaż się poznajomił ze mną poomacku — jako że tam było ciemno, choć oko wykol — od razu mi się spodobał i, jak mnie ciągnął, tom się mu

nie opierała. Nic nie pyta, ino wtyka mi kij do garści i każe gnać te woły do wsi. A ja się go posłuchałam, bo całkiem straciłam głowę i nawet nie pomyślałam, żeby uciec. A te jego siostry także potraciły całkiem głowy i nic mu się nie sprzeciwiały, ino latały dokoła, jak oszalałe i kwakały w niebogłosy. Zaś Praczki w chacie nie było. I przyleciała dopiero, kiedyśwa już z Warszem byli het daleko. Widzi Praczka, co się dzieje, tak woła na męża:

— Hej, hej! Gdzie ty jesteś Dziwun? —

A topielec od Kaczej Kępy odpowiada:

— Na wierzbie się w sieci kiwum! —

I ona zara poleciała, żeby go wypuścić; aliści nijak nie mogła, jako że bylica ziele jest nieladajakie. I biedaczysko wisiał na tej wierzbie do białego rana. I dopiero rano Warsz wrócił się tam nazad, i pyta się go: czyśta się już namyślili. A topielec mówi: już. Ale przysięgać nie chciał, bo od tego mówi, jest topielec, żeby topił. Tyle ino Warszowi przyobiecał, że się wyniesie precz z okolicy na sześćdziesiąt roków. A Warsz się na to zgodził i puścił topielca. Oddał włodyce woły i wziął w nagrodę ziemię. I postawił tę chałupę; tyłem do Wisły, bo widok rzeki go mierzi.

Od tego czasu gromada przyjęła go za swojego i nikto już nie śmiał mówić mu: odmieniec. A wszystkie dziewki, co przódziej, jak którą niechcący tknął, to się zara ocierały i mówiły: mokryś — tera szczerzyły do niego zęby. On się przecie nie ożenił z żadną ino ze mną. I dba o moich rodziców, co żyją pod Bugajem. I wyszedł na gospodarza całą gębą. I na rybaków patrzy z góry.

Zaś topielec z Praczką wyniósł się aż pod Bielawę. Pod Kaczą Kępą ostały ino trzy Warszowe siostry. Ludzie zowią je Praczkami, jako wołali ich matkę, aliści one pierają kijankami. Położnice na Rybakach boją się ich gorzej ognia, bo chodzą słuchy, że one kradną dzieci. Ale to bajka. Wiem dobrze, bo u nich bywam i one też mnie nawiedzają. Właśnie dzisiaj, kiedy Warsz poszedł na stróżę do dworu, one tutaj przyleciały i powiadają, że rano wróżyły z wody i Wisła im powiedziała, że wy do mnie przyjedziecie. I przykazały mi, żeby was pocieszyć, że jutro wrócicie znowu za dziesiąte wieki, jako że bogi sprowadziły was tu ino po to, żebym wam opowiedziała moje dzieje.

Poeta spytał, w jaki sposób wróci w czasy, z których przybył.

Warszowa machnęła ręką:

— Spuśćta się na bogi.



Ranka następnego Jacek posilony barszczem, t. j. polewką zbożową z grochem i słoniną, podziękował gospodyni za nocleg na sianie i ruszył na przechadzkę. Na przełaj ścierniska, myjąc w tęczowej rosie trzewiki nieoczyszczone od lat tysiąca, pomaszerował ku budynkowi otoczonemu ostrokołem. Bramę zastał odemkniętą. Zgrzybiałe ściany były, jak chata Warszowej, układane z kłód sosnowych, jednakże nie z okrąglaków nieodartych z kory, tylko z bierwion ociosanych. Okap omszałego dachu popodpierano drągami, gdyż z dźwigających go rysiów sypało się próchno. Drugi okap, pobijany, jak

górny, gontem, biegł dookoła przyciesi. Poeta stwierdził z przyjemnością, wbrew teoriom naukowym, przeczącym istnieniu świątyń w Polsce pogańskiej, iż podanie o kontynie nad Bugajem jest prawdziwe. Świadczyły o tym ozdobne śwarogi w kształcie łbów końskich, swastyki rżnięte na odrzwiach, wysokość progu. We wnętrzu mrocznym, bez okien, powały i podłogi, sterczał pośrodku klepiska piec gliniany; wzdłuż ścian bocznych stały ławy, przed nimi stoły, w głębi, w komorze, święty bałwan. Miał cztery twarze, rzezane nieudolnie. Był ognojony przez jaskółki, które gnieździły się nazewnątrz, wlatywały zaś dymnikiem. Pół tuzina owych ptaków jaskoliło na sosrębie, nic sobie zgoła nie robiąc z obecności Jacka.

Kiedy wyszedł na dwór, słońce spijało już rosę z wrzosów, rosnących w obrębie ogrodzenia, oraz z drapiących niebiosa „złotorudych sosen", które poecie przypomniały wiersz Miłaszewskiego. Oprócz nich strzegła kontyny stara, ale jara para sadzonych buków, splecionych konarami. Pod samym tynem żółciły się mogiłki; prawie na każdej stał garnek. Opodal szczypał badyle łysy ze starości siwek jasnokościsty; być może, koń Jarowitowy. Pasły się tam także istne tabuny pasikoników i całe stada bożych krówek. Siadłszy na ławce pod bukami, młodzieniec przyglądał się powstawaniu Warszawy

mrówczej. Nie tęskniąc do ludzkiej wcale, rozkoszował się samotnością i zapachem macierzanki. Od czasu do czasu słyszał, dolatujące z daleka, jakby trzaskanie kijankami. Gdy wiatr zawracał ku rzece, hałas ów cichnął; słychać było tylko szum drzew i świerszcze. Na wrzosowisku czerniały tu i ówdzie duże plamy po ogniskach. Natchnęły Jacka pomysłem utworu p. t.:

SOBÓTKA

Co świątek, czy to w białe, czy w zielone gody,
Naprzekór domniemaniom późniejszej nauki,
Będą Warszowe dzieci, wnuki i prawnuki,
Czcząc słońce pod postacią gorejącej kłody,
Schodzić się
— Lelu! Łado! —
do bożej zagrody
Nad Bugajem, strzeżonej przez sędziwe buki
I przez sosny śmiglejsze, niżli ostrołuki,
By odprawiać
— Kupało! —
doroczne obchody,
W najkrótszą noc czerwcową do białego rana
Będą tańczyć
— dziś, dziś, dziś —
i śpiewać — oj Dana —
I skakać przez ogniska i gnać przez nie trzody.

Praprawnuki Kupałę odmienią na Jana.
Porąbią świętą lalkę na drobne polana
I
— lulaj, Lelu, lulaj! —
wrzucą ją do wody.

Futurystyczny ów sonet Jacek ułożył w myśli. Pracował nad nim przeszło godzinę. Następnie spisał go chemicznym ołówkiem na ławce, na której siedział. Nagle ugodziła poetę w kolano uschła makówka, ciśnięta z za ostrokołu. Posądziwszy o ten figiel dzieci rybackie, wrócił po chwili do dzieła. Jął skrobać scyzorykiem rymy oklepane, zamierzając je zastąpić zadzierzystszymi. Przy robocie odruchowo rozgniótł makówkę i, nie zdając sobie z tego sprawy, połknął kilka ziarek. Zanim zdążył wydłubać jedną literę, oczy mu się zaczęły kleić.

Słońce grzało. Świerszcze grały. Szumiały drzewa. Pachniał wrzos i macierzanka.

Z za węgła kontyny wyszły trzy brzydule w koszulach podkasanych, jak do prania. Tracąc przytomność, czuł, że biorą go na ręce i unoszą w stronę rzeki.

— — — — — — — — — — —

Obudził się w łodzi. Dzień był chmurny. Wisła — przysłowiowo szara. Szpetota nadbrzeżnych ruder, śmietnisk i t. d. nie miała nic malowniczego.

Wylądował.

Zaczepił go jakiś rybak, proponując przejażdżkę. Wycie syreny parowej zagłuszyło odpowiedź:

— Właśnie wróciłem.

WOKULSKI

Blaskom Prusa

„...bodaj wszyscy dotychczasowi krytycy i recenzenci „Lalki“... jednozgodnie uśmiercili Wokulskiego, chociaż autor... kilkakrotnie daje do zrozumienia, że Wokulski sobie życia nie odebrał... Gdybym do drobiazgu tego przywiązywał wagę, śmiało odwołałbym się do autora i pewny jestem, że nie skompromitowałby mej domyślności i nie zakrwawił serc zainteresowanych losem Wokulskiego czytelniczek, które teraz pocieszają się nadzieją: a nuż żyje? i snują na ten zupełnie wystarczający dla wyobraźni temat, przepowiednie dalszych losów bohatera“.

Jan Ludwik Popławski.

Tralala tyndyryndy
Tyndyryndy tralala...

(Harmonia sfer? Katarynka?)

I

Jacek Wolski mieszkał na ul. Wspólnej, pod nr. nieparzystym, pomiędzy pl. Trzech Krzyży a ul. Kruczą, w domu różniącym się od sąsiednich akurat tyle, ile ul. Wspólna różni się od Żórawiej, Hożej i t. p.

Podnajmował t. zw. „kawalerski pokój przy inteligentnej rodzinie z niekrępującym wejściem i wygodami". Tak opiewało w „Kurierze Powszednim" drobne ogłoszenie, wskutek którego się wprowadził.

Pokój ów był równie niepoetyczny, jak korektorstwo Jackowe w owej gazecie. Nic dziwnego więc, iż — mimo wejścia niekrępującego — muzy odwiedzały poetę rzadko.

Dnia 1.I. 1928 r., w pięć kwartałów po wizycie u Warszowej, młodzieniec — w braku funduszów na kino, lub kawiarnię — trawiony poobiednią, niedzielną nudą, patrzył przez okno.

Rozmyślał:

— Wyskoczywszy z trzeciego piętra, sprawiłbym więcej rozgłosu, aniżeli go zdobędę sonetami. Ciekawe, czy bodaj jeden prenumerator „Kuriera" czytał mój prze-

kład z Laforgue'a w numerze gwiazdkowym? Sławy mi to nie przysporzy. Czy można być sławnym, drukując raz do roku utwór czternastowierszowy? Tylko grafoman nieuleczalny mógłby się co do tego łudzić. Talent mój usycha, jak ta akacja, na której sejmują podwórzowe wróble. Od kiedy tu mieszkam, nie zauważyłem nigdy na niej ani jednego listka. Trudno kwitnąć na asfalcie, między trzepakiem a śmietnikiem, ale trudniej tworzyć dzieło wieczne, gdy się pracuje w dzienniku.

Osmucony położył się na kanapie z połamanymi sprężynami i — ażeby się rozerwać — sięgnął po „Lalkę". Miał podniszczony egzemplarz wydania jubileuszowego, kupiony za czasów szkolnych na Świętokrzyskiej. Obydwa tomy były zeszyte razem i oprawione w półskórek. Pozłota tytułu, wytłoczonego na grzbiecie, wytarła się doszczętnie.

Ilekroć był zaziębiony, lub poboliwały go zęby albo się kochał nieszczęśliwie, Jacek stosował przeciwko dolegliwościom ciała i duszy lekturę tej powieści.

Lek nie zawodził. Arcyproza Prusa działała skuteczniej, niż proszki antypiryny. Ostudzała gorączkę, uspakajała nerwy, regulowała bicie serca. Im więcej razy czytał ów poemat o Warszawie, tym lżej młodzieńca odurzał urok „Kordiana", którego umiał na pamięć. Częściej, niż „Lalkę" czytywał jedynie „Noc listopadową". Nie znaczy to, żeby nie czcił Słowackiego. Z rodziną Kordianów

był spokrewniony. Okupywał zaszczyt paranteli skłonnością do szaleństwa.

Pocieszał się książką, dopóki się nie ściemniło. Smutek jego bladł wobec niedoli światów, po których go oprowadzał geniusz Aleksandra Głowackiego. Zwiedzając pod jego przewodem pałace i rudery, ogrody i kamienice, sklepy i kościoły, spotykał na każdym kroku tyle czarnej i pozłacanej nędzy, że się nie martwił sobą. Autor mu pożyczał okularów, które na pozór były ciemne, a jednak czytelnik widział piekło życia kolorowo. Krajobraz Powiśla, czy widok Opery paryskiej, oglądane przez te szkiełka, posiadały barwność płócien Aleksandra Gierymskiego. Ale bardziej, niż niebieskie szkła, zachwycała poetę aureola nad głową przewodnika. Świetlany krążek świetnie harmonizował z kapeluszem i tużurkiem pozytywisty.

Jacek w siódmym roku życia widział raz Bolesława Prusa u swoich rodziców. Pan Głowacki pocałował chłopca w głowę. Pomimo to na ulicy smarkacz nie poznawał owej postaci zwyczajnej, niepozornej, szarej. Dzisiaj, kiedy czytał „Lalkę“, postać owa urastała w jego oczach do rozmiarów wielkoluda, u którego stóp stolice — Warszawa, Paryż — wyglądały, jak mrowiska. Olbrzym przypominał rzeźbę biskupa u Augustianów, co w lewej ręce piastuje dwuwieżowy kościół, choć miał kalosze, a — zamiast godeł męczeńskich — trzymał w pra-

wicy parasol. Pochylał się nad miastami, niby Rzecki ponad ladą, zastawioną mnóstwem mechanicznych cacek, i odkrywał dachy, żeby pokazać Jackowi wnętrza domów. Brał czytelnika - karzełka delikatnie w dwa stwardniałe nieco od pióra palce i — ciągle rosnąc — podnosił go na wyżyny, z których Ziemia wydaje się świecidełkiem choinkowym.

Skoro druk zaczął się zlewać w popielate prostokąty, służąca wniosła naftową — z mlecznym kloszem — lampę, gdyż elektryki — zepsutej w wieczór sylwestrowy — z powodu święta nie naprawiono. Po krótkiej przerwie poeta wrócił do zabawy „Lalką“ i bawił się nią nawet przy kolacji, składającej się z imbryka mocnej herbaty, czerstwych bułek i serdelków. Ledwie mu je przyniesiono, odezwał się w przedpokoju — stosownie do umieszczonej na drzwiach mieszkania wskazówki: „Dzwonić dwa razy!“ — dwukrotny dzwonek, zwiastujący sublokatorowi odwiedziny. Jacek — z książką w ręku — poszedł otworzyć. W klatce schodowej, gdzie płonął palnik gazowy, ujrzał rosłego mężczyznę w ośnieżonym futrze i czapce karakułowej. Mężczyzna ów oznajmił, iż ma interes do p. Wolskiego. Kiedy poeta zapytał, czym może służyć, przybysz uścisnął mu krzepko dłoń ciepłą ręką i przedstawił się:

— Wokulski.



Chrupiąc bułkę z serdelkiem i popijając herbatę, Wokulski mówił:

— Szuman nie miał racji. Rację miał Rzecki, który nie uwierzył w plotkę, że umarłem, do grobowej deski. Zawiadomiony o jego śmierci telegraficznie przez Ochockiego — on jeden wiedział, że wyniosłem się do Geista — przyjechałem na pogrzeb w same Zaduszki. Wszyscy patrzyli na mnie, jak na Piotrowina. Powązki, roziskrzone bezlikiem świateł, przypominały — o zmierzchu — obóz na pobojowisku. Ignacy spoczął w grobie, niby przy biwaku. Przypadek zrządził, iż na krzyżu prowizorycznym umieszczono napis:

NON OMNIS MORIAR

Jeszcze nie zdążono oklepać mogiły, kiedy przywitał się ze mną Henryk Szlangbaum, nalegając żebym przyjął miejsce w powozie do niedawna moim.

Miał już początki otłuszczenia serca. Po drodze ku wyjściu zadyszał się. Przysiedliśmy pod kasztanem bezlistnym ze zgrubieniami anormalnymi od cmentarnych soków. Z oczu b. towarzyszowi patrzyło źle maskowane zdenerwowanie. Spytał, czy zostanę w kraju. Odpowiedziałem, że nie. Uspokoił się i jął mówić o procentach, które był mi winien.

Milczałem. Gdy, odsapnąwszy, wstał z ławki i — poufale — próbował ująć mnie pod rękę, oświadczyłem, że chciałbym jeszcze posiedzieć. Odszedł.

Świateł coraz przybywało. W żywym ich blasku patologiczny kasztan wyglądał trupio. Przeziębłem do szpiku kości. Żeby się rozgrzać, wstałem. Poszedłem do Ignacego. Nad mogiłą zobaczyłem nieznajomego chłopaczka, którego rodzice klęczeli przy grobie sąsiednim. Ochraniał rączką od wiatru płomyki tworzące:

•
•
* * *

Oczy malca uśmiechały się do owej cyfry, jak do choinki, choć była resztką krzyża. Odzwierciedlały nieskończoność, jak byle łza, lub kropla rosy.

Zostałem w „Warszawie Zmarłych“ do późna wieczór. Czułem się wśród grobów, niczym stały mieszkaniec grodu, zwanego przez psalmistę „Miastem Światłości“.

Wracałem dorożką. Do dziś lśnią mi w pamięci niebieskie szybki po bokach kozła oraz przedmiejskie latarnie, żółte, jak paciorki bursztynowego różańca mojej matki.

Szczególnym zbiegiem okoliczności w tej samej kwaterze, gdzie leży Rzecki, pochowano później Prusa. Przeżyłem go, chociaż był o czternaście lat odemnie młodszy. Urodziłem się w 32-im...

Gość Jackowy robił wrażenie mężczyzny w sile wieku. Przy dojrzałości rysów, zachował ruchy młodzieńcze. Podobne ruchy i rysy poeta u kogoś widywał. U kogo — na razie sobie nie uprzytamniał.

Słuchał:

— Wyjechaliśmy z Ochockim do Paryża. Za rok możemy obchodzić jubileusz emigracji i współpracy: złote gody; srebrnychśmy nie obchodzili. Panny Łęckiej nigdy później osobiście nie widziałem, wiem jednak, że nie wstąpiła do klasztoru, lecz wyszła zamąż trzykrotnie. Tertio voto odziedziczyła miliony. Trwoni je na Jasnym Brzegu. Mimo ósmego krzyżyka flirtuje podobno nadal — nie z aktorami włoskimi, gdyż wyszli z mody, lecz z argentyńskimi tancerzami. Starski zmarł na stanowisku królewsko - polskiego posła w Pekinie. Liciński

jest honorowym tajnym radcą M. S. Z. Krzeszowski zginął w pojedynku. Co się stało z baronową, hrabiną, księciem, marszałkiem, nie mam pojęcia. Od dawna też nie słyszałem nic o p-nie Florentynie, ani o p-ni Meliton.

— A dr. Szuman?

— Przed śmiercią zmienił nazwisko na Szumanowski. Bratanka jego, kandydata do projektowanej Akademji Literatury, nie należy utożsamiać z wychrztą Szymonowskim, członkiem Literackiej Archikonfraterni. Tak samo Michał Szlangowski, wnuk starego Szlangbauma, bankier, nie ma nic wspólnego z pułkownikiem Maurycym Pieron - Szlagonowskim, synem p. Gutmorgena.

— A p. Stawska?

— Wyszła za Mraczewskiego. Zmarli oboje. Syn ich poległ pod Radzyminem. Dawną „Helunię“ zna pan przecież doskonale: od niej dostałem pański adres.

Poeta błyskawicznie uświadomił sobie, że dr-owa Maleska jest z domu Stawska.

Wykrzyknął:

— Więc to ona była bohaterką procesu o lalkę? Ależ w takim razie dr. Maleski...

— Kolegował niegdyś z Patkiewiczem, który dopóty robił trupa, aż umarł na suchoty. Umarła też Misiewiczowa, Lisiecki, Wirski. Czy radca Węgrowicz ciągnie radzika — wątpię. Furman Wysocki utopił się. Dróżnik wpadł pod lokomotywę. Klejna powieszono w 905-tym.

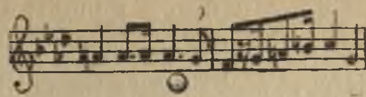
o rudowłosą p. Wąsowską. Mogło być niedyskretne. A nuż Wokulski posiadł w niej ideał wiekuistej kobiecości?

Gość mówił dalej:

— W wigilię, dziewięć dni temu — zwykle spędzam w kraju Wigilie i Wielkie Noce — załatwiałem po południu sprawunki na Nowym Świecie. Ulica stroiła się zawczasu w biżuterję elektryczną, choć było jeszcze widno. Na rogu Chmielnej spotkałem Magdalenkę. Wypięta w kształt litery S, umalowana, uperfumowana, deptała chodnik szykownymi obcasami najmodniejszego fasonu. Któżby pomyślał, że te pęciny, połyskujące jedwabiem, przekroczyły siedemdziesiątkę. Udałem, że jej nie widzę. Nie chciałem kamienować spojrzeniem — mimowoli twardym — wdowy po Węgiełku! Niechcący trafiłem wzrokiem w przechodzącego po trotuarze przeciwnym Antyprusa. Domyśla się pan, kogo tak nazywam. Pomimo perwersyjności tego pisarza, czytuję jego felietony z takim samym zainteresowaniem, z jakim niegdyś kroniki w „Kurierze Codziennym". Zniknął mi z oczu na Smolnej. Ogromny zegarek kieszonkowy nad magazynem zegarmistrza wskazywał pół do 4-tej. Lada chwila mogła wzejść pierwsza gwiazda. Jąłem się rozglądać za wolną taksówką. Jak na złość wszystkie były zajęte. Obładowany paczkami doszedłem do kamienicy Zamoyskiego, zanim się zdecydowałem zaczekać na

18-kę. Przystanąwszy pod pomnikiem Kopernika, obserwowałem ruch samochodów. Podskakujący, jak wróbel, gazeciarz sprzedał mi „Kuriera“ świątecznego. Między ogłoszeniami mydeł i karmelków znalazłem — podczas jazdy — przekład sonetu Laforgue‘a. Rymy znoszę rzadko. Pańskie utkwiły mi w głowie, jak w niej tkwi oryginał wiersza, którego autor, śmiejąc się i swawoląc po francusku, umiał tęsknić i rozpaczać, niczym nasi romantycy. Pierwszy raz podróż tramwajem nie wydała mi się długa. Odrobina poezji i trochę pary na szybie wystarczyło, żeby przemienić elektrowóz w pocisk kosmiczny, a łukowe perły, żarowe brylanty, rubiny, szafiry szmaragdy topazy i ametysty — w konstelacje. Jak panu wiadomo zajmowałem się astronomią nim nie znalazłem krótszej drogi do wszechświata w chemji.

Wysiadłem na Pradze. Od Maleskich którzy czekali mnie z opłatkiem, dowiedziałem się przypadkowo, kto pan zacz. Zacny doktór poinformował mnie poufnie, że pan wmawia w siebie suchoty talentu, chociaż analiza pańskich utworów daje rezultat negatywny. Postanowiłem zaprosić pana do Paryża. Przypuszczam, iż klimat „Ville Lumière“ wyleczy pana z choroby urojonej. Przedłużył życie poza grób plejadom suchotników autentycznych, że wspomnę autorów „Warszawy“ rysowanej, „Kordiana“ i „Fantazji F-mol“. Pamięta pan?



Pokażę panu okno przy rue Bertholet, gdzie Lafargue tęsknił do tych samych planet, których odbicie lśni w „Hoynych Darach“ i w „Astronomii Wojskiego“. Wiem, iż lektura „Komedii ludzkiej“ zastępowała panu pamięć, jak Prus, który go opisał, zanim go zwiedził. Wiem, iż lektura „Komedii ludzkiej“ zastępowała panu posiłek w czasach, kiedy pan przymierał z głodu. Wiem nawet to, iż najmilszy z grzechów dzieciństwa zawdzięcza pan bonie-paryżance. Wprawdzie i w Paryżu nie robią z owsa ryżu, ale też nie cenią ryżu niżej, niż owies, jak to się zdarza w Warszawie, której stosunki giełdowe znam dobrze, jako b. kupiec. Aczkolwiek się wycofałem z rynku do laboratorium, interesuje mnie wszystko, co się tutaj dzieje. Mniemam, iż nic ludzkiego nie jest mi obce, ponieważ nic rodzimego nie jest mi obojętne. Dlatego pana zapraszam. Spodziewam się, że pan nie będzie robić ceremonii. Proszę jeszcze o herbatę. Serdelek był wyśmienity. Może dla odmiany zapali pan khedywa?

Jacek drżącą ręką podał Wokulskiemu ogień. Zanadto wzruszony, żeby módz dziękować, odmówił w myśli — przed zapaleniem papierosa — paryski paciorek Kocha-

nowskiego. Z tego powodu d. c. monologu słuchał z roztargnieniem. Zrozumiał dopiero słowa:

— Nawet najdrobniejszych zjawisk lekceważyć nie należy. Geist mnie nauczył, że podbój słońc — cel ostateczny naszych dążeń — da się osiągnąć jedynie dzięki potędze atomów. Choć ilość doświadczeń, potrzebnych do stworzenia metalu lżejszego, niż powietrze, okazała się o parę zer większa, od obliczonej początkowo, wierzę, iż metal ów stworzymy — jeśli nie w tym, to w przyszłym wieku, i że dojdziemy — prędzej czy później — do władzy nad Kosmosem.

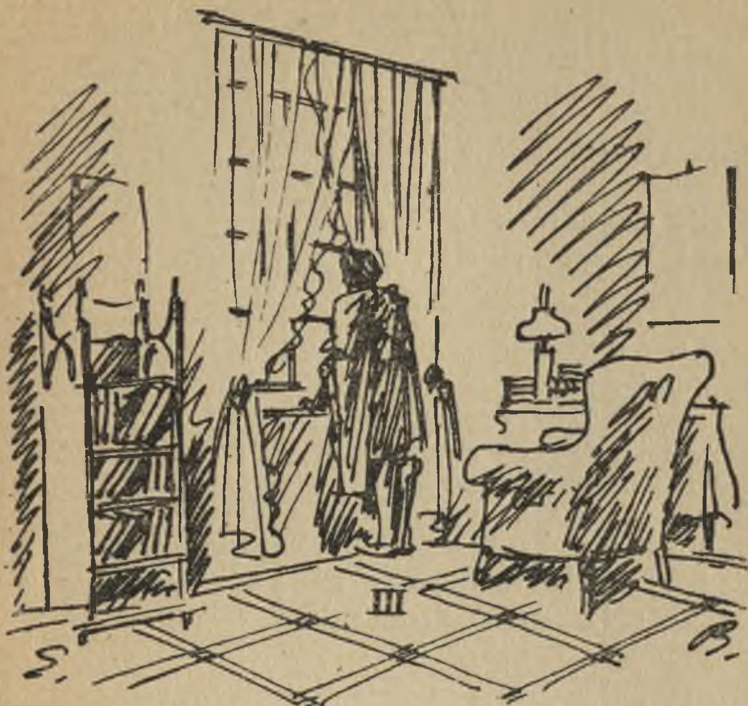
Było już późno. Gość pożegnał gospodarza, naznaczywszy spotkanie nazajutrz w Hotelu Europejskim.

— Zaraz po śniadaniu pojedziemy na lotnisko.

Jacek wyraził wątpliwość, czy mu się uda uporać tak szybko z formalnościami.

Wokulski sięgnął do kieszeni.

— Od czegóż Maruszewicze?



Zostawszy sam, Jacek wietrzył pokój. Stał w oknie, okryty kocem, wciągając w płuca mroźne powietrze. Śnieg przeistoczył akację w kwitnącą jabłoń. Na oficynę padał blask lampy i — wyolbrzymiony — chudy cień z odstającymi uszami.

Poeta, gapiąc się nad dachy, powtarzał w myśli sonet Laforgue'a p. t.:

APOTEOZA

Zawsze i wszędzie złote gron gwiezdnych mrowiska
W głuchoniemym milczeniu mielą swoje wiry.
Rzecby można: ogrójców djamentowe żwiry...
Lecz każdy świat, samotny, posępnie połyska.

Otóż tam, w zakamarku zapadłym, gdzie wznieca
Smętny brzask rubinowo pełgająca smuga,
Rozedrgana iskierka jedna słodko mruga:
Patryarcha, co drogę rodzinie oświeca.

Roju globów kwitnących jest on protoplastą.
Na jednym z nich, na Ziemi, lśni punkt żółty — miasto,
Gdzie — pod lampą — szaleniec wsłuchuje się w ciszę....

Kruche, jedyne cudo w powszechnym porządku!
Odzwierciedla dzień jeden, jaki zna. Z początku
Marzy długo, a potem.., potem sonet pisze.

Zamknąwszy okno, napisał list do redakcji z zawiadomieniem, że zrzeka się posady, a zaległe honoraria przeznacza na głodnych. Następnie rozebrał się, zgasił lampę i położył się do łóżka.

Spać nie mógł. Gdy na tapecie zakwitły bzy malowane, a na podwórzu zaczęły świegotać wróble, podniósł się, umył, ogolił, ubrał i spakował cały majątek do walizki.

Po herbacie opuścił „kawalerski pokój“, pożegnawszy się z „inteligentną rodziną“.

Wychodząc z bramy, posłyszał:

— Handele, handele, handele...!

N.B. Przeczytawszy uważnie w pierwszym tomie „Lalki" rozdziały od VII do X, wstąp czytelniku, przechodząc Krakowskim Przedmieściem, na podwórze domu Nr. 7.

W lewej oficynie, na parterze zobaczysz okno zakratowane, a obok tablicę z napisem takim:

TU
MIESZKAŁ
IGNACY RZECKI
B. OFICER PIECHOTY
WĘGIERSKIEJ
UCZESTNIK KAMPANJI
R. 1848
HANDLOWIEC
SŁAWNY PAMIĘTNIKARZ
ZMARŁY W R. 1879

Po przeciwnej stronie ulicy na fasadzie domu Nr. 4 znajduje się również tablica a na niej napis:

W TYM DOMU
MIESZKAŁ W LATACH
1878-1879
STANISŁAW WOKULSKI
UCZESTNIK POWSTANIA
R. 1863
B. ZESŁANIEC SYBERYJSKI
B. KUPIEC I OBYWATEL
M. ST. WARSZAWY
FILANTROP I UCZONY
UR. W R. 1832

Wracam na róg Królewskiej o świcie, po 3-ciej.
Kto świeci
u mego ojczyma?
Czyżby Deotyma
— upudrowana kurzem, w koronkach z pajęczyn —
„snuła“ c. d. wymęczyn?

(— Mieszkała tutaj niegdyś. Chwilami czuję,
że dotychczas pokutuje. —)

Nie! To on sam z nad biurka przyświeca mi głową:
„wiecznym piórem“ Narodową Myśl przemienia
w słowo,
które ucieleśnią przyszłe pokolenia.

Pisze „Dziesięcioro wskazań“. Poziera ku mnie
z dobrocią skromnych mojżeszy.

(—Cóż stąd, iż rzeszy
zjadaczów chleba, czyli — mówiąc prościej —
przechodniom — bronz na kolumnie
wydaje się postacią normalnej wielkości? —)

Dzień dobry Głowo,
co siejesz blaski.
Pozwól, że otworzę
balkon. Na dworze
świt: — jaśminowo
pachnie Ogród Saski,

wróble świegocą: „Kiedy ranne wstają zorze“...

TREŚĆ

PRZEDMOWA 5

WARSZAWA

Komuż mam dedykować 17
Było to pod wieczór 19

GRABINKA

Grabinka 27
Czwartek 51
Kiedy skończyłem opowiadanie 59

PRONOBIS

Pronobis 65
Piątek 87
Po napisaniu 91

WARSZOWA

Warszowa 95
Sobótka 115

WOKULSKI

Wokulski 121
Apoteoza 134
Przeczytawszy uważnie 136
Wracam na róg Królewskiej . . 139

Niniejsze wydanie „Warszawy“ wykonała oficyna drukarska częściowo odbudowana po zburzeniu w sierpniu 1944 roku. Książkę złożono na linotypie matrycami, wydobytymi z gruzów, odbito na maszynie, oczyszczonej z rdzy. W warunkach technicznie trudnych składał Zygmunt Burakowski, łamał Wiktor Szymczakowski, tłoczył Franciszek Zawisza przy pomocy Anastazji Kwiecińskiej i Stanisława Skoczylasa. Druk ukończono 21 września 1946 r.

DRUKARNIA KRAKOWSKA
Władysław Grzelak i Spółka
w Warszawie, ulica Wolska 19.

B-03555